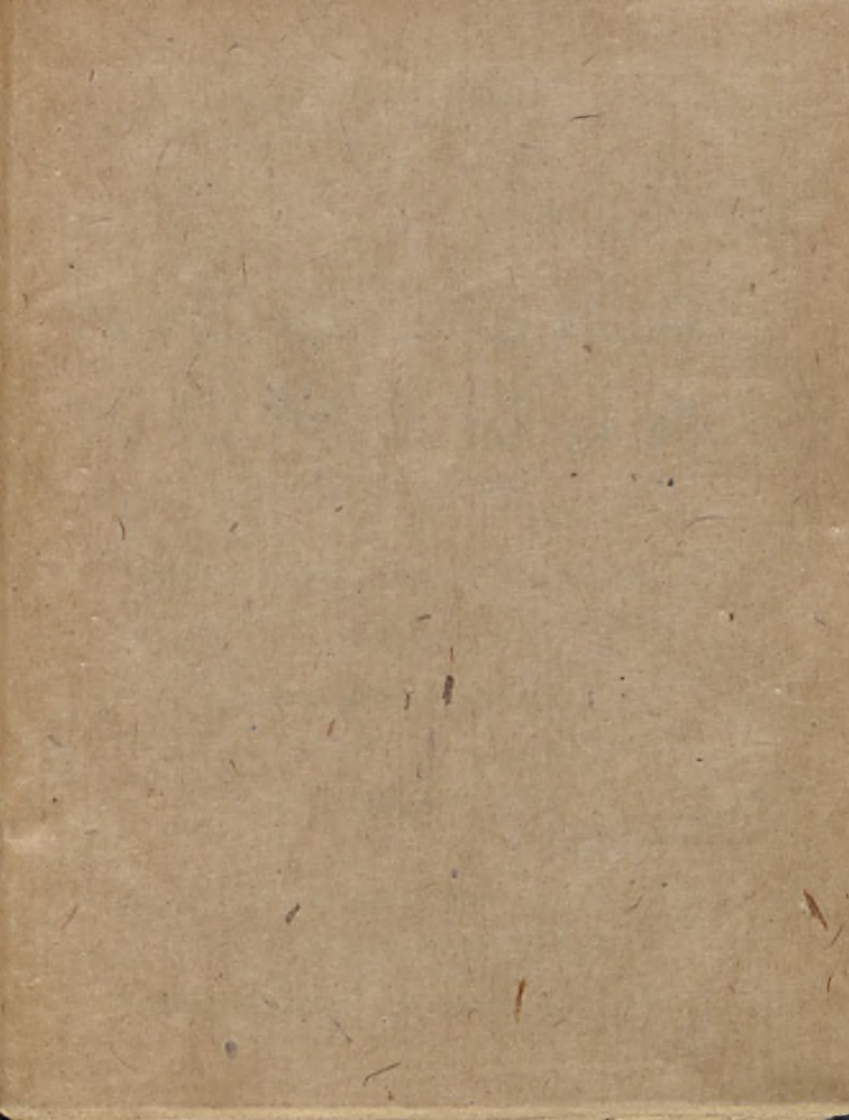
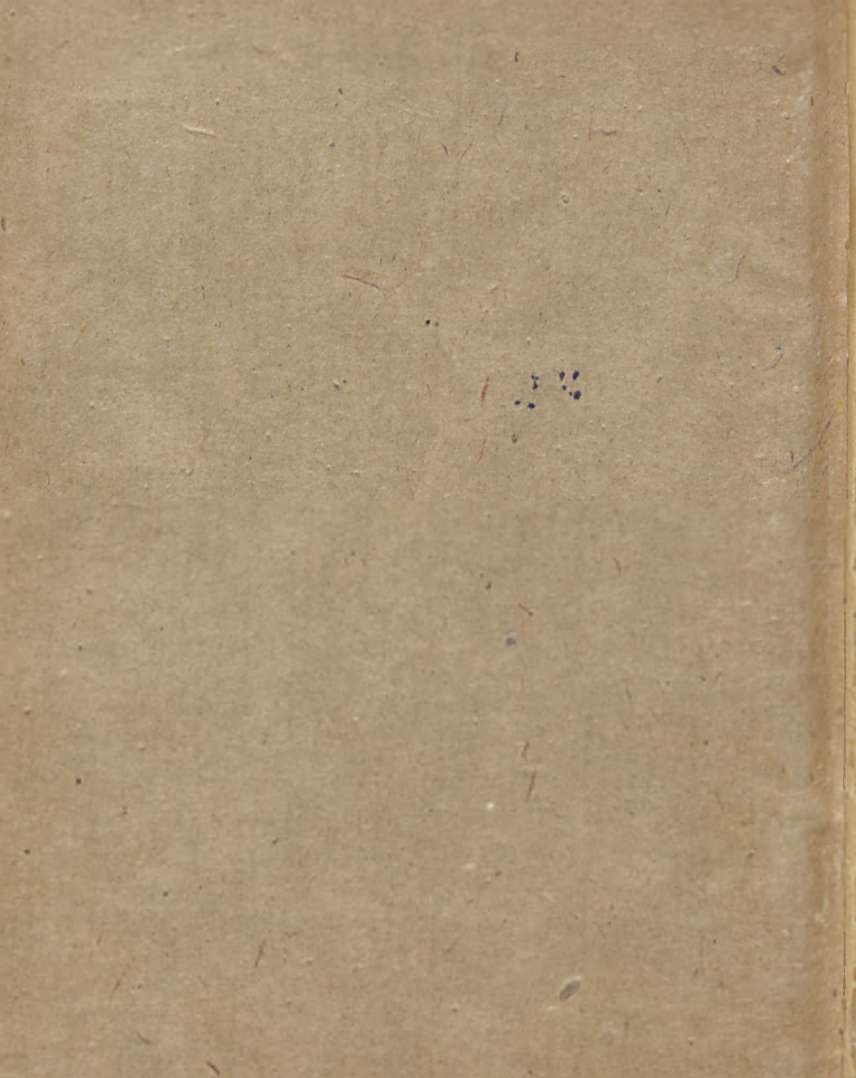








ZYGMUNT KRASIŃSKI

~~Dz. I. Nr. 186.~~

NIEBOSKA KOMEDJA

~~Dz. VIII. B. Nr. 60~~

Wstępem, dokładną treścią i objaśnieniami

zaopatrzył

Prof. Adam Sulima.



LWÓW — 1929.

SPÓŁKA WYDAWNICZA „VITA”.

Główny skład w księgarniach:

Dra M. Bodeka Batorego 12. | A. Bardacha Krakowska 1.

~~Nr. In. 878~~



CZYTELNIA

czyt. 884-2



884(09)

Sul
nie

15581

43351

884(09):984

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 43351



BGZs 43351

~~Państwowe Zakłady Książek
NAUCZYCIELSKICH
KURSY PEDAGOGICZNE, METODYCZNE, PEDAGOGICZNE
CENNIK I KOSZTORYS, SZKOLENIA
W RADOMIU~~

Drukiem B. Kreidmana Lwów, Wolność 17.

I. Krasiński w epoce tworzenia „Nieboskiej Komedji“.

Zygmunt Krasiński urodził się w r. 1812 w Paryżu. Ojcem jego był hr. Wincenty Krasiński, generał i długoletni adjutant Napoleona, matką Marja z ks. Radziwiłłów. Pochodzenie rodowe wywarło bardzo ważny wpływ na życie i pismach Zygmunta Krasińskiego. Po matce (zmarłej w r. 1822) odziedziczył wątłe zdrowie, nerwowość i skłonność do melancholji, w połączeniu z zadziwiającą już w chłopięcych latach bystrością i wrażliwością umysłu. Stąd też pochodzi jego przedwczesna dojrzałość, napisał bowiem „Nieboską komedję“ mając lat 21.

Edukacją młodego Zygmunta zajmowali się sławni powieściopisarze i pedagodzy. Początkowo kierował nauką jego Józef Korzeniowski, a po usunięciu się tegoż Piotr Chlebowski. Przez cały czas wykształcenia domowego przebywał już to w Warszawie, już to w rodzinnej Opinogórze.

W r. 1826 oddany został do najwyższej klasy liceum warszawskiego, a po ukończeniu tegoż zapisał się na wydział prawny uniwersytetu. Tam zapoznał się z początkującymi literatami Gaszyńskim i Magnuszewskim. Z pierwszym z nich i z Danielewiczem pozostawał w ścisłej przyjaźni i korespondencji aż do śmierci. Pod ich wpływem zaczął tworzyć i z tego czasu pochodzą pierwsze jego próby poetyckie, z których przebija się skłonność do bajronowskiego pesy-

miłemu i melancholji, miłość Ojczyzny, podziw dla wielkich postaci dziejowych i żądza sławy.

W trzech wielkich twórcach rozczytywał się Krasński, a każdy z nich swą ogromną indywidualnością, wywierał wpływ niezatarty na młodzieńczą wyobraźnię przyszłego twórcy „Nieboskiej Komedji“.

Z polskich Mickiewicz, wschodząca gwiazda romantyzmu polskiego, z obcych: uwielbiany w całej Europie Byron, potężnie działający swą posępną melancholją, pesymizmem i namiętne ukochaniem wolności, oraz niemniej sławny Walter Scott, twórca romansu historycznego, w którym apoteozował złote czasy rycerstwa średniowiecznego. Szczególnie działały na Krasńskiego utwory Walter Scotta i skłoniły go do napisania kilku powieści, do których należą „Pan trzech pagórków“ oraz drukowany w r. 1828 romans p. t. „Grób rodziny Reichstałów“. Potem nastąpiły: „Sen Elżbiety Pileckiej“ (r. 1829), przekład poematu Byrona „Paryżyna“ i powieść trytomowa silnie na Walter Scocie wzorowana p. t. „Władysław Herman i jego dwór“. Wszystkie te utwory nie przedstawiają większej wartości i znać w nich pogoń za sytuacjami, zięjącymi grozą, sład napuszona przesada stylu i formy.

Tymczasem naukę uniwersytecką Krasńskiego przerwał wypadek, który bardzo zaważył na jego życiu i twórczości. Ojciec jego, cieszący się dużą popularnością, jako były Napoleonczyk, ściągnął na siebie zarzut zdrady narodowej przez lojalne dla rządu rosyjskiego zachowanie się w czasie znanego sądu sej-

3
mowego r. 1827, w sprawie przestępców politycznych, tam jeden bowiem głosował za karą dla nich.

Lecz gorzej się stało, kiedy w r. 1829 umarł prezes tego sądu sejmowego, popularny w Warszawie Piotr Bielinski. Cała młodzież uniwersytecka manifestacyjnie i solidarnie pospieszyła na jego pogrzeb, tylko Krasiński sam jeden, ulegając rozkazowi ojca, słuchał wówczas wykładów. Nazajutrz koledzy znieważyli publicznie Krasińskiego i gdy ten chciał wydać pojedynek jednemu z nich, Leonowi Zubieńskiemu, ojciec rozkazał mu wyjechać do Szwajcarii, dodawszy mu guwernera do towarzystwa. Można sobie wyobrazić jak silnie wstrząsnęły duszą młodego poety kolizja uczuć, zarzut odstępstwa i publiczna obelga.

W Szwajcarii osiadł Krasicki w Genewie, gdzie oddawał się cichej pracy i rozmyślaniom. Wspaniałe obrazy gór szwajcarskich rozwijały jego wyobraźnię i samotne życie, zdala od rodziny i ojczyzny, skłaniało do samoistnych rozmyślań. Czytanie fantastycznych utworów pisarza angielskiego Coleridge'a i przepojonych panteistycznym uduchowieniem poezji Shelley'a, odwróciło jego uwagę od pełnych okropności utworów Wiktora Hugo, a skierowało myśl ku marzycielskim i wszechludzkim rojeniom. Korzystnie na rozwój jego samodzielności podziałała miłość czysta i pełna uniesień, pierwsza miłość ku Angielce Henryecie Wilan, oraz przyjaźń serdeczna z młodym Anglikiem wielkich zdolności, Henrykiem Reere. Pisał wtedy dużo ulotnych rzeczy prozą poetycką na wzór Chateaubrianda, które drukował bezimiennie w „Bibliothèque universelle de Genève“.

W lecie r. 1803 poznał Krasiński Mickiewicza i wraz z nim odbył wycieczkę po Szwajcarii. Znajomość i rozmowy z twórcą „Konrada Wallenroda” znacznie pogłębiły zapatrywania Krasińskiego na poezję. Poznał, że tylko myśl wielka, myśl prawdziwa może uczynić poezję wielką i nieśmiertelną, a „ozdóbki, kwiatki stylu są niczem, kiedy myśli niema”.

Niezapomniane wrażenie pozostawił u Krasińskiego Rzym, gdzie bawił po raz pierwszy od jesieni 1830 r. do marca 1831. Tam może powstały niejasne myśli, zaczątki „Irydjona”. Tam też kiedy przemysliwał nad świeżo poznanym Konradem Wallenrodem, zaskoczyła go wstrząsająca wiadomość o powstaniu listopadowem.

Pierwszą myślą Krasińskiego było pośpieszyć do kraju i stanąć w szeregu walczących, jednakże surowy rozkaz ojca zatrzymał go we Włoszech. Stąd powrócił do Genewy, gdzie przez rok pozostał. Jak straszliwie odczuł stan swojej niemocy, świadczy o tem list do Gaszyńskiego pisany w marcu 1832. „Ten cały czas przeboleiałem, przeszałałem, przechorowałem! Wszystkich sposobów używałem, by dostać się do was, ale silniejsze nad moje ramiona zapory drogi mi zajęły, musiałem słuchać o waszych bojach i siedzieć na miejscu... dnie i noce na gorączce z początku, później na szaleństwie schodziły. Wycierpiałem za winy wszystkich przodków moich”.

Cierpienia moralne jakich doznawał, działały rozstrajająco na jego słaby organizm fizyczny, dręczyły go przypadłości nerwowe i wzrastająca choroba oczu. Równocześnie jednak dojrzewał i męźniał umysł,

ogarniając coarż szersze widnokregi i nabierając mocy wieszczej. Dwudziestoletni młodzieniec zastanawiał się nad problemami filozoficznymi, nad przeznaczeniem jednostek i narodów, nad koniecznością odradzania się ludów przez pracę i cierpienia, nad znaczeniem śmierci i pośmiertnej ewolucji. Kształcił się dalej gorliwie, uczęszczając w Genewie na wykłady sławnych historyków Micheleta i Sismondiego, a szczególnie znakomitego Rossiego, czytając dzieła szkoły Saint — Simona, Baissiera, Schlegla, Chateaubrianda.

Do najważniejszych utworów wydanych w latach 1829—31 należą: „Masław, książę mazowiecki“, „Teodoro, król boarów“ i „Ułomek z dawnego rękopisu słowiańskiego“. Ważnym jest urywek p. t. „Wygnaniec“, w którym poraz pierwszy z istotną potęgą słowa maluje swoje męki duchowe w okresie powstania i zbliżony treścią utwór p. t. „Adam Szaleniec“ pochodzący z r. 1831. Do tego okresu twórczości zaliczyć trzeba jedną z najlepszych jego powieści p. t. „Agay-Han“ wydaną we Wrocławiu w r. 1834.

W r. 1832 podążył Krasiński do kraju, dokąd przyzywał go rozkaz ojca. Najpierw przebywał przez jakiś czas w Opinogórze, później zaś pojechał do Petersburga, gdzie ojciec przedstawił go carowi Mikołajowi I.

Rozpatrzenie się na miejscu w stosunkach panujących w kraju, w kłótniach stronnictw i klubów, rozmowy z ojcem i rozmyślania ostudziły znacznie jego żal, że nie wziął udziału w powstaniu, ochłodziły jego entuzjazm, a myśl zrównoważona zwróciła się ku losom narodów i całej ludzkości, uważając to tylko za temat godny wielkiej poezji.

Bawiąc w Petersburgu w jesieni r. 1832 powziął pomysł „Irydjona“, napisał nawet większą część, którą zniszczył za powrotem do Warszawy, uważając rzecz za nieudolną.

Z Warszawy znowu udał się w podróż zagranicę. Zatrzymawszy się we Wiedniu (r. 1833), zaczął pisać inny utwór „dotyczący walki arystokracji z demokracją“ p. t. „Nieboska Komedja“, który wykończył w Rzymie w drugiej połowie 1833 r. Dramat ten wyszedł w Paryżu w r. 1835.

II. Genoza „Nieboskiej Komedji“.

W listach Krasińskiego z r. 1834 znajdujemy jeden, zawierający ważny komentarz do zasadniczej myśli „Nieboskiej Komedji“. „Ja wiem, — pisał — „że cywilizacja nasza ma się ku śmierci i wiem, że bliskie czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą, stare karać i same się potępić w obliczu Boga — ale wiem, że nic nie utworzą, nie zbudują i przejdą, jak koń Attyli i głucho po nich! Dopiero to, czego ani ty, ani nikt nie zna, nie pojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje...“

* Słowa te wyjaśniają w zupełności cel, którym się kierował Krasiński, przedstawiając walkę społeczną arystokratów, obrońców dawnego porządku i tradycji z demokratami, burzycielami zdobyczy starej cywilizacji, dla których jedynym celem było dobro materialne klas niższych i użycie doczesne wszy-

stkiego, co było przedtem tylko udziałem książąt, hrabiów i bankierów.

Poeta potępił jednych i drugich. Arystokratów za obłudę i kłamstwo, życie bez celu, przemieszanie i zdrady, wyrzekanie się przekonań, hołdowanie sile materialnej, ucisk poddanych i tchórzostwo, ludzi Pankracego za bezwzględny materializm, okrucieństwo i zbrodnie, poprzez jakie zdążali do poprawy swego losu, wreszcie za odrzucenie wiary chrześcijańskiej. I dlatego i jedni i drudzy są skazani na zagładę. Arystokracja to „stare zbrodnie“, demokracja zaś to „zbrodnie nowe, które przyjdą stare karać i same się botępić w obliczu Boga.“ Czyż sromotnej śmierci Pankracego, z okrzykiem „Galilae vicisti“, nie można uważać za takie samo potępienie, doskonale odpowiadające ostatniemu określeniu?

Przekonanie o nieuknionej zagładzie współczesnego pokolenia i bezwzględny pesymizm w ocenie stosunków współczesnych, wytwarzać się zaczęły u Krasińskiego w r. 1831.

Różne na to złożyły się przyczyny. Przedewszystkiem cierpienia osobiste, spowodowane przymusową biernością wobec powstania listopadowego, następnie niepokojąca, pełna trwóźnych oczekiwań, przepowiedni i drzeń podziemnych, atmosfera polityczna całej Europy.

Stąd też możemy odróżnić w „Nieboskiej Komedji“, dwa skryzalizowane i wyraźne granicami oddzielone dramaty: osobisty i społeczny.

Podobne sprzężenie własnych przeżyć i cierpień z tragicznymi losami całego narodu, widzimy zresztą

i w dwu innych dziełach największych naszych romantyków : w „Dziadach“ i „Kordjanie.“

Jak w życiu Mickiewicza i Słowackiego, tak i w życiu Krasińskiego, losy powstania listopadowego i niemożność udziału w niem, stały się punktem wyjścia dla długoletnich rozterek wewnętrznych, borykań ze sobą. Położenie młodego Zygmunta było naówczas straszne. Potomek starego rycerskiego rodu, syn generała, od dzieciństwa marzący o sławie, rwący się do walki, przygwożdżony został do z miejsca rozkazu ojca, który lojalnie stanął po stronie cara i którego naród uważał za zdrajcę. Jakżeż dotkliwie musiał odczuć swą bezczynność i hańbę.

Wtrząśnienia moralne działały rozstrajająco na słaby organizm, sprowadzając cierpienia fizyczne. Choroba oczu postępowała szybko, grożąc przez jakiś czas ślepotą. Przymusowa bezczynność, na jaką skazany był w owym okresie, podziałała jednak zadziwiająco szybko na rozwój ducha i myśli poety.

Chory i samotny, nie mogąc się oddać tak intensywnie jak przedtem pracy pisarskiej, zastanawiał się głęboko nad stosunkiem swoim do współczesnej epoki, nad swoim powołaniem poetyckiem, nad istotą poezji, a wreszcie nad źródłem cierpień, których pastwą był oddany jako człowiek i jako poeta. Owocem tych rozmyślań była „Nieboska Komedja“, zawierająca dobitne ostrzeżenie własnego społeczeństwa przed kataklizmem przewrotów społecznych z jednej, a zbytnią przewagą poezji w życiu z drugiej strony.

Krasiński miał z natury umysł filozoficzny i ba-

dawczy, skłaniający się ku rozwiązywaniu zagadnień z dziedziny socjologii. Skłonność tę potęgowały jeszcze studia nad dziełami sławnych historjografów Causina, Guizota i Micheleta, niemiej jak ustawiczne podróże po całej Europie. Można bez przesady powiedzieć, że Krasinski nie zrywając węzłów ze swoją ojczyzną, był jako poeta, szczególnie w początkach swej twórczości kulturalnym kosmopolitą. Sprawy Polski zawsze gorąco go absorbowaly, nie był jednak nieczułym także i na losy Francji, której kulturą mocno był przesiąknięty, oraz Anglii, do której go zbliżyła miłość z Henryettą Willan i przyjaźń z Henrykiem Reere. Nic więc dziwnego, że na losy tych trzech narodów zapatrywał się pod jednym kątem widzenia, uważając, że w rozwoju ich dziejów zachodzi dużo punktów stycznych.

Atmosfera polityczna Europy ówczesnej była tak mocno naładowana elektrycznością, że lada chwila spodziewać się można było piorunów.

Po rewolucji francuskiej i wojnach napoleońskich, umysły wstrząśnięte żyły w ciągłej obawie jakichś nadzwyczajnych wydarzeń i przewrotów. Powszechna była wiara w zbliżanie się dziejowych kataklizmów. Jak zwykle w takich razach zjawiały się złowróżbne proroctwa. Rozruchy ludowe w Paryżu, rewolucja robotnicza w Lyonie i wrzenie mas w Anglii, zdawały się potwierdzać przewidywania.

Pojawili się też wkrótce pierwsi teoretycy i kierownicy dążeń ludowych, ojcowie pozytywizmu i socjalizmu — saint-simoniści.

Mistrzem ich i nauczycielem był Henryk Saint Simon, zmarły w r. 1825, autor sławnego dzieła

„Nowy chrystjanizm“, zawierającego kanony nowej wiary. Apostołami jej stali się po śmierci mistrza jego uczniowie, którzy wystąpili z energiczną propagandą, rozwijając w swoim organie, dzienniku „Le Globe“ szeroki program ekonomiczno-społeczny. Żądali oni zniesienia przywilejów pochodzenia i majątku, a uznania pracy i zdolności za jedyny miernik stanowiska społecznego. Wszelkie różnice klasowe miały zniknąć, a jedynie jednostki pracowite i zdolne mogły zająć wybitniejsze miejsce w społeczeństwie. Wszelkie dobra, posiadłości i instytucje przejść miały na własność wspólną, a służyć wyłącznie podniesieniu warstw najuboższych pod względem intelektualnym i materialnym. Władzę naczelną sprawować miał zespół wybitnych jednostek reprezentujących naukę, sztukę i przemysł. Polityka dążyć miała w kierunku zawarcia ogólnego związku społeczeństw, w celu wspólnej eksploatacji naturalnych produktów ziemi. Także i religja miała ulegć zreformowaniu. Saint-simoniści odrzucali dogmaty chrześcijańskie, religją ich był panteizm humanitarny, uznający za Boga ludzkość jej życie i użycie.

Przewódcami saint-simonistów byli Enfantin, człowiek namiętnego charakteru, skłonny do rozwijania fantastycznych planów, dalej Bazard, trzeźwy i praktyczny, choć zacięty i fanatyczny rewolucjonista, wreszcie bystry i przedsiębiorczy, bez ambicji osobistej żyd Rodrigues.

Kiedy wystąpienia saint-simonistów zaczęły być zbyt głośne, a nauka ich godziła w całość państwa, rząd francuski zakazał im zebrań i publicznych nauk.

Krasiński znał i śledził uważnie działalność tych pierwszych socjalistów. Przerażali go oni swym materialistycznym radykalizmem.

„Ja sędzę” — pisał w r. 1832 do przyjaciela swego Reere’a — „że Saint-simoniści spełnią swe przeznaczenie, a przeznaczeniem ich jest stanąć kiedyś na czele wielkiego ruchu proletarjuszów i wtedy przyjdą dni próby, które zachwiałyby nawet wybranych, jeśliby *Bóg nie przespieszył ostatniego dnia świata*”.

A więc wbrew saint-simonistom — którzy twierdzili, że ludzkość przez powolny rozwój, nie przez rewolucję, dzięki ich wytężonej propagandzie, na której wyłącznie polegać miała ich działalność — dojdzie do nowej epoki — Uważał Krasiński, że nowy porządek, którego przyjście też przewidywał, nie wyłoni się spokojnie, lecz stopą skrwawioną w walkach klas, stanie zwycięsko na gruzach przeszłości. Skłonny był do przekonania, że przyszłość jaśniejsza zabłyśnie, ale dopiero po olbrzymich kataklizmach dziejowych, po nowej rewolucji, która obejmie świat cały, a więc i Polskę, a ogromem i zaciekłością przewyższać będzie rewolucję francuską.

Podobnie, jak wiele współczesnych pisarzy europejskich, tak i Krasiński upatrywał zupełną analogię pomiędzy współczesnym wiekiem, a epoką upadku Rzymu i uważał wiek dziewiętnasty za czas przejściowy, w którym rozegrać ma się walka nieubłagana pomiędzy przeszłością a przyszłością. Obrońcami przeszłością mieli być ci, którzy jej zawdzięczali przywileje i urodzenie, a więc arystokraci, przeciwko nim stawali ci, którzy do zdobycia praw i przywilejów dążyli, a więc cały lud.

Wiedział autor „Nieboskiej Komedji”, że lud po-

kona arystokrację, nie wątpił jednak, że zwycięstwo to będzie srogie, brutalne i krwawe, jak srogie, brutalne i krwawe są instynkta ludu, których obraz dała rewolucja francuska.

Do ludu tego czuł odrazę nietylko jako myśliciel-pessymista, pogardzający brutalnem prawem pięści, ale i jako wielki pan, potomek Krasińskich i Radziwiłłów.

Więc chociaż znając arystokrację nawskroś, okazał jej wzdargę i lekceważenie, to jednak czując się związanym z tradycją, wysoko stawiając zasługi swych przodków i szanując religję, nie mógł siebie umieścić w innym obozie, jak tylko w arystokratycznym.

Cenił się zaś zanadto, ażeby się na równi postawił z tymi, którym zarzucał brak zasad, materializm i sobkowstwo. Wiele więc cech swoich użyczył hr. Henrykowi, któremu dał imię przyjaciela Henryka Reere, i wiek swój (hr. Henryk w cięści 1-szej ma lat 21, podobnie jak Krasiński w czasie pisania „Nieboskiej“). Było to tem bardziej pociągające, że mógł z problemem walki społecznej, połączyć problem osobisty.

Albowiem jak już nadmieniliśmy, w owym okresie polistopadowym, okresie choroby i samotnej rozterki, nurtowało w duszy poety wiele zagadnień, dotyczących własnej osobistości.

Jako człowiek o wysokiej wartości etycznej zadawał sobie bez wątpienia pytanie, czy poezja zastąpić może czyn realny i czy iskra Boża wywyższająca poetów ponad ludzi przeciętnych, nie nadaje im jednocześnie cech ujemnych, poniekąd nawet szkodliwych. Kto wie czy pytanie pierwsze nie powstało

pod wpływem wyrzutów sumienia, podszeptującego, że poezja jego nie mogła zastąpić czynu zbrojnego dla Ojczyzny, co odpowiadało zaraz na pytanie drugie. Bo gdyby był obdarzony silną wolą i stanowczością, to mógł wbrew rozkazowi ojca pośpieszyć do szeregów walczących w powstaniu listopadowym. Stąd wpływało potępienie poezji, zwłaszcza, że Krasiński przez długi czas walczyć musiał z formą i rymem, który mu się nie składał, tak że skarżył się na brak „tej anielskiej miary”. Dopiero w późniejszych swoich dziełach poetyckich osiągnął autor „Przedświtu” swoistą piękność języka i rymu.

Krasiński był człowiekiem ambitnym i żądnym wielkości i czynu, nie dla sławy, a dla nadania najwyższej wartości etycznej swemu życiu; być rycerzem-wodzem, to najmilsze jego marzenie poetyckie a zarazem ideał. Więc chociaż potępił hr. Henryka, to jednak wkładając w niego wiele z własnej jaźni, chciał go zarazem wywyższyć i dlatego uczynił go wodzem, wodzem samotnym, bo znienawidzonym przez tchórzów, zamkniętych w okopach św. Trójcy. Potomek starego rycerskiego rodu był bowiem przekonany, że wodzem być potrafi, mimo to, że szczęśliwego ogniska rodzinnego założyć nie może.

Poeta odbył w poemacie sąd nad sobą samym. Oddawszy część swej osobistości hr. Henrykowi, potępił go jak sędzia surowy lecz sprawiedliwy za egoizm, brak wiary i miłości. Przypisywał to nadmierne wybujałej fantazji poetyckiej, która czyni poetę niewolnikiem tworców własnej wyobraźni, zajmujących całą jego miłość i zachwyty, nie pozwalających na zajęcie się

światem rzeczywistym. W liście do Reere'a w r. 1833 tak pisze o poecie: „Drogo przychodzi opłacać wdarcie się w bogów tajemnic! Jedna kropla z niebios na twe skronie upadła, już cię niesposobnym czyni do powszedniego życia na ziemi a jednak nieprzemienionys w anioła, pozostałeś człowiekiem. Tylko już wśród ludzi braci nie masz. Może cię strawi gorączka, jeśliś słabej kompleksji, może i zmysły postradasz... Nie zazna on (artysta) nigdy prawdziwej miłości kobiety, bo on dla siebie jest wszystkim. On twórca wszystkiego: świata, czy posagu, wiersza czy kochanki własnej. Kocha swe arcydzieło, ale poza niemi nie kocha. Dlatego to wielki artysta nigdy nie będzie ani dobrym małżonkiem, ani dobrym ojcem nie będzie. Straszna to rzecz!”

Takto uważając poetę za człowieka pod wielu względami upośledzonego, nakreślił swą przypuszczalną autobiografię, w której odpowiadał na pytania: Jakim byłby mężem?, jaką spuściznę zostawiłby synowi?, jaką rolę odgrywałby w rewolucji światowej? I zgodnie z powyższemi własnymi stronami przedstawił całe zło i tragizm, wynikające z fałszywej poetyckiej pozy, nakreślił tragedję małżeńską fałszywego romantyzmu, której ofiarą pada dwoje ludzi.

Nie dość na tem. Krasiński twierdził, że nie tylko żonie szczęścia zapewniłby nie potrafił, ale i dziecko odziedziczyłoby po nim wraz ze spotęgowanemi zdolnościami także i słaby organizm, sterane nerwy, chorobę oczu i widmo przedwczesnej śmierci.

Tak powstała wzruszająca tragedja Orcia.

Potępiwszy hr. Henryka w części I-szej, rehabilituje go poeta pozornie w części drugiej poematu. Tutaj hr. Henryk odbija się korzystnie rycerskością, poczuciem honoru i odwagą od owych książąt, hrabiów i baronów. Rehabilitacja to jednak pozorna dlatego, że wszystkie jego powyższe cnoty wypływają nie ze stałych przekonań mocnego człowieka, lecz z dumy i fantazji poetyckiej, odbierającej im wartość wewnętrzną. I kiedy Pankracy, ceniąc męstwo swego przeciwnika, woła po jego śmierci „Chwała jemu“ — to Krasieński patrząc w głąb serca rzuca słowa wyroku: „Za to, żeś nic nie kochał, nic prócz siebie, prócz siebie i myśli twych potępion jesteś — potępion na wieki.“

Przedstawiając walkę dwóch partji, arystokracji z ludem, poeta obie strony potępił, obu patriotom odmówił siły twórczej i wartości życiowej. Wykazał zmurzałość arystokracji i brutalny materializm demokratów. Broniąc przeszłości, nie bronił jednak arystokracji, będącej tylko partją przeszłości. Bronił zaś tego co obcem było obu stronom, mianowicie religji.

Bo skoro współczesny mu świat zginać miał skutkiem wad swoich, skutkiem braku serca miłości i wiary, to jasna przyszłość zabłysnąć mogła, tylko dzięki zwycięstwu wiary, serca i miłości. Że jest to równoczesne z odrodzeniem chrześcijańskich dogmatów, jasno wskazuje ów krzyż, zjawiający się Pankracemu, niby symbol trjumfu Ducha Świętego ponad złotym cielcem majerjalizmu.

Dokładna treść.

Część pierwsza.

Wstęp prozaiczny zawiera potępienie poezji. Poeta maluje w pięknych barwach wszystkie jawne i ukryte uroki poezji, odmawia jej jednak głębszej wartości życiowej i zasługi przed Bogiem. Stwierdza zawsze istniejący rozdzźwięk między treścią duszy poety, a jego dziełem. Przez jedną tylko chwilę bywa poeta aniołem, podobnie jak kobieta, aby potem znowu się zanurzyć w błocie ziemskim. Jednak i poeta cierpi, tylko że jego jęki i westchnienie nie dochodzą Boga, zbiera je bowiem szatan, jako owoc kłamstw i złudzeń. Pomimo to poeta nie wyrzeka się poezji; jest ona dla niego źródłem „piękności i zbawienia“, gubi ona tylko tych którzy żyją nie poezją teraźniejszości, lecz wspomnieniem lub przeczuciem. Postanawia - nosić poezję niby gwiazdę na czole i użyć jej ku pożytkowi ludzi nie zaś ku przyjemności.

Anioł Stróż przelatując nad domem błogosławi mu i życzy hrabiemu Henrykowi żony dobrej i skromnej.

Chór złych duchów wywołuje i wzywa ku pocie Henrykowi ucieleśnienia wielu pokus, które działając na jego wyobraźnię, mają zniszczyć jego szczęście domowe i odepchnąć go od żony. Złe duchy wypuszczają nań najpierw widmo jego dawnej kochanki, „odświeżone i ubrane w kwiaty“, następnie „wypchanego w piekło orła sławy“, a wreszcie stary a odświeżony obraz Ede-
iu, gdyż i przyroda jest narzędziem szatana wobec poety.

W kościele wiejskim ksiądz daje ślub młodej parze. Mąż (hrabia Henryk) zostaje sam i ślubuje na zawsze wierność żonie, a przeklina się gdyby ją kochać przestał.

Po weselu odbywa się huczny bal w domu państwa młodych. Mąż rozkochany wodzi wzrokiem za tańczącą żoną, a następnie wobec niej samej ponawia zapewnienie miłości i zachęca ją do dalszego tańca.

Zły duch pod postacią dziewczicy, zmarłej kochanki Henryka, lecąc ponad ogrodem stroi się w kwiaty, które przyzywa ku sobie; lecąc ponad cmentarzem stroi się w powabyzmarłych dziewczic i zdąża ku domowi państwa młodych.

Noc. Pokój sypialny. Mężowi, śpiącemu obok żony, zjawia się we śnie dziewczica. Pełen zachwytu wita ją, wtem przebudziwszy się, spostrzega śpiącą obok żonę, niby prozaiczny kontrast poetycznego snu. Nagle ukazuje mu się już na jawie dziewczica i ze słowami „zdradziłeś mnie“ znika. Mąż niepomny przysięg niedawnych, przeklina chwilę swego ślubu. Budzi się żona i widząc jego gorączkowanie i głos niezwykle, chce mu dać eteru, celem uspokojenia. Ale mąż wstaje z łóża i wymawiając się potrzebą przechadzki, wychodzi do ogrodu.

Tutaj przy świetle księżyca monologując, przypomina sobie filisterskie życie, jakie od dnia ślubu pędził i wyrzuca sobie rozbrat z poezją. Wyrzeka na ślubne kajdany, które skuty ze sobą, aż do śmierci ciała, dusz jednak związać nie potrafią. Błaga dziewczicę, ażeby go nie opuszczała, a na jej pytanie odpowiada, że zawsze do niej należał i w każdej chwili gotów na jej skinienie opuścić dom i rodzinę.

Tymczasem żona z okna błaga hrabiego Henryka, ażeby wrócił do pokoju, gdyż chłód nocny może mu opaść na piersi, a jej samej tęskno w dużej, czarnej komnacie. Mąż ulega jej prośbie, przed odejściem jednak wyrzuca te znamienne słowa: „Znikł duch, ale obiecał, że powróci, a wtedy zegnaj mi ogródku i domku i ty, stworzona dla ogródka i domku, ale nie dla mnie“.

Salon w tymże domu. Żona opowiada mężowi o przygotowaniach, jakie poczyniła do chrztu ich synka. Mąż dziękuje jej w sposób oschły i lakoniczny, wskazujący na przymuszanie się do poprawnego stosunku do niej. Nato ona rozzalona wyrzuca mu, że od pewnego czasu stroni od niej, zbywa ją półsłówkami i widocznie jej już nie kocha, choć ona go niczem nie obraziła. Błaga go, ażeby ich dziecku nie odbierał swej miłości, a wtedy ona gotowa znosić jego gniew. Hrabia, wzruszony zapewnia ją o swej miłości do niej i dziecka i całuje ją. Wtem słychać grzmiot, potem dziką muzykę i wchodzi dziewczica. Wabi ku sobie hrabiego i wzywa do pójścia za nią, obiecując mu nieziemskie rozkosze i szczególne wzruszenia. Zaślepionemu poecie przedstawia się ona jako cudowne zjawisko pełna niezwykłego czaru i powabu, podczas gdy żona widzi zjawę we właściwej jej istocie, a więc widzi wstrętny upiór, w całuniecie szmat, cuchnący siarką i zaduchem grobowym odrażający. Jej trwoga i wstręt podniecają tylko hrabiego Henryka, który uważa to za wynik zazdrości i ulegając czartowskiemu mamidłom, porzuca dom, ażeby podążyć za dziewczicą. Żona mdleje.

Na chrzcinach zebrało się mnóstwo gości. Nastrój jest jakiś dziwny: trwożny i niesamowity. Goście zdziwieni są nieobecnością hrabiego, tknięci wyglądem i bladością jego i żony. Kiedy Ojciec Benjamin bierze dziecko na ręce i nadając mu imiona Jerzego Stanisława, chrzci je, matka dziecięcia blada stając jak we śnie, zbliża się doń i kładąc ręce na głowie dziecka błogosławi mu i nakazuje mu być poetą, ażeby ojciec go pokochał i przebaczył matce brak poetyczności. „Przeklinam Cię, jeśli nie będziesz poetą“ woła i pada zemdlona. Goście rozchodzą się przerażeni.

— Tymczasem hrabia Henryk, mijając piękne okolice, poprzez góry i lasy podąża za dziewczicą i dochodzi wreszcie nad brzeg przepaści ponad morzem. Wówczas dziewczica znika i hrabia słyszy tylko jej głos z oddali wzywający go ku sobie. Ma to na celu strącenie go w przepaść i zgubienie jego duszy. Złe duchy naigrywają się z niego, że mimo wielką duszę, którą jak się chełpi, pod niebo wzbić się zdoła, nie może przelecieć marnej przepaści. Dziewica wciąż zdala woła nań i jakby pod wpływem chwilowego otrzeźwienia, widzi ją hrabia taką, jaką ją widziała jego żona: więc dostrzega opadające z niej kwiaty, nagie pieszczęły wyzierające z pod całunu, włosy oślizgłe jak włosy topielca — dostrzega miast pięknej dziewczicy, ohydny upiór. Więc zdarty ze złudzeń, poznawszy swą omyłkę, rozpacza, a jakaś siła niewidoma, siła nieczystych duchów pcha go ku przepaści. Lecz kiedy wzywa imienia Boskiego, zjawia się Anioł Stróż i zawiadamiając go o odbywającym się chrzcie

jego syna, każe mu wrócić do domu i zaprzestać grzechów.

Hrabia wróciwszy do domu, dowiaduje się ku swemu przerażeniu, że żonę jego odwieziono do szpitala warjatów. Wtedy dopiero uświadamia sobie całą doniosłość swego postępu. „Tę której przysiągłem na wierność i szczęście, sam straciłem do rzędu potępionych już na tym świecie“. Przypomina sobie słodkie chwile, które przeżył przy boku swej żony i coraz większy żal go zbiera: „Widzę ją — czoło, na którym zawsze myśli spokojna, witająca, uprzejma przeziarała — pochylone trzyma — a myśl dobrą swoją, posłała w nieznane obszary“. Hrabia udaje się do domu obłąkanych i podaje się tam za przyjaciela męża chorej. Przyjmuje go w zastępstwie nieobecnego doktora jego żona i na zapytanie hrabiego przedstawia mu stan chorej jako prawie nieuleczalny. Następnie wprowadza go do pokoju chorej. Hrabia zostaje z żoną sam. Scena to przerażająca, pełna obłąkanej grozy. Z dołu, z góry, z prawej i lewej strony rozlegają się głosy szaleńców, którymi poeta wyobraża przeczucie zbliżającej się katastrofy społecznej, jaką przedstawia część druga dramatu.

Na zapytanie hrabiego czy go poznaje, odpowiada żona zupełnie przytomnie. Poznaje go, ale wyjść z nim nie chce: „nie mogę się podnieść — dusza opuściła ciało moje, wstąpiła do głowy“. Opowiada mu, że jest już godną jego, albowiem „modliła się przez trzy noce i Bóg ją wysłuchał“ i zesłał na nią dar poezji. Teraz już mąż jej wieczorami opuszczać nie będzie, gdyż potrafi go zabawić natchnieniem poetyckiem. „Czy nie zrównałam się z tobą? Wszystko pojme, zrozumie,

Wydam, wygram, wyśpiewam. Morze, gwiazdy, burza, bitwa.“ Tu nieszczęśliwa, z obłąkaniem w oczach, zaczyna w szaleńczem natchnieniu wypowiadać wiersze. Hrabia widzi skutki swych poetycznych zapędów i wyrzuty sumienia go dręczą. Lecz żona jest szczęśliwa i całuje go. Następnie opowiada mu, że i syn ich będzie poetą, albowiem pobłogosławiła go i zaklęła. Znowu odzywają się głosy szaleńców. Żona nawiązując do słów jednego z nich wężem wzrastającym obłąkaniu przedstawia obraz końca świata, szaleństwa bogów i ludzi. Potężna to i wtrząsająca wizja. „Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę, człowiek każdy, robak każdy krzyczy: „Ja Bogiem“ — i co chwila jeden po drugim konają — gasną komety i słońca. Chrystus was już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. Czy słyszysz, jak ten krzyż, nadzieja milionów, rozbiła się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a coraz niżej i niżej — aż tuman wielki powstał z jego odłamków? Najświętsza Bogarodzica jedna się jeszcze modli i gwiazdy, jej służebnice, nie odbiegły jej dotąd — ale i Ona pójdzie, kędy idzie świat cały.“ Obłąkańcze natchnienie żony wzrasta, chwieje się, krew jej nabiega do twarzy. Mąż, ranny zmianą zaszła w jej wyglądzie, woła pomocy. Wpada żona doktora, ale napróżno.

Na rękach hrabiego umiera jego nieszczęśliwa ofiara. Nadchodzący doktor konstatuje już tylko śmierć.

Część druga.

Wstęp prozaiczny. Poeta opisuje dziwną naturę Orcia, syna hrabiego Henryka. Nie zachwycają go, jak inne dzieci, gry i zabawy, będące udziałem wieku dziecięcego, on woli „czoło oparłszy na rączkach białych“ i wzrok utkwwszy w jakieś zaświatowe dale, marzyć i dumać z powagą, niezwykłą, w jego latach. Czasem się nagle zarumieni „płonie jak stulistna róża“ i wzrokiem sięga nieba, jakby z kimś niewidocznym rozmawiał: Darmo wtedy przemawiają doń najbliżsi, gdyż ciałem jest tylko obecny, duch zaś daleko gdzieś błądzi. Wszyscy znajomi obsypują dziwne lecz piękne dziecię pieścizotami i wróżą mu niezwykłą przyszłość. „Ksiądz gotował cię do spowiedzi — i chciał ukłęknać przed tobą, jak przed obrazkiem.“ Wzrasta Orcio i pięknieje, lecz nie ową świeżością dziecienną mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku niemu“.

Mąż i Orcio udają się na grób zmarłej żony i matki. Orcio na wezwanie ojca zdejmuje kapelusik i modli się za duszę matki. Lecz zamiast wymawiać zwykle słowa modlitwy, parafrazuje je i przeplata własnymi poetycznymi słowami: „Zdrowaś Panno Marjo, łaskiś Bożej pełna, Królowa niebios, Pani wszystkiego...“ Mimo napomnień ojca zamienia Orcio dalej modlitwę, tłumacząc się, że jest to dla niego wewnętrzną, nieodpartą koniecznością. Kiedy hrabia mu zarzuca, że nie kocha matki, odpowiada Orcio że często ją widuje. Oto przedwczoraj ukazała mu się matka we śnie, blada i wychudła i w słowach wymownych objawiła mu, że

troszczy się dlań o nadchnienie poetyckie i zbiera dla niego od duchów farby, odcienie i dźwięki. Orceo dokładnie powtarza wierszem słowa matki i zapewnia, że nie kłamie. Hrabia tem przerażony, zwraca się do grobu zmarłej i czułą mową zaklina ją, ażeby miała litość nad własnem dzieckiem. W tem Orcio słyszy głos matki i powtarza jej słowa: „Obudzę w tobie, wszystko, co ludzie na ziemi, anieli w niebie nazwali pięknnością, by ojciec twój, o synku mój, kochał ciebie. Głos matki słabnie i z oddali jeszcze dochodzą Orcia jej słowa. Hrabia błaga Boga o zmiłowanie nad jego biednem dzieckiem, które zbyt słabą ma powłokę cielesną, ażeby wytrzymać mogło natłok myśli, namiętności i uczuć. „Panie nie wydzieraj rozumu własnym stworzeniom, nie opuszczaj świątyń, któreś sam wybudował sobie — spojrzyj na męki moje i aniołka tego nie wydawaj piekłu.“ Hrabia i Orcio opuszczają cmentarz.

Hrabia przechadzając się z filozofem, toczy dyskurs o zjawiskach społecznych. Filozof twierdzi, że nadchodzi czas wyzwolenia kobiet i murzynów i że „odrodzenie rodu ludzkiego dokonywa się przez krew i zniszczenie form starych.“ Na to hrabia pokazuje mu stare, spróchniałe drzewo z świeżemi listkami na dolnych gałązkach i porównuje je z filozofem, jego teorjami i wiekiem współczesnym. Podobnie jak to drzewo runie za rok za dwa i nic się nie przyda, tak i wiek i ludzie i teorie ich przepadną, bez korzyści dla potomnych.

W wąwozie między górami przechadza się hrabia i robi rachunek sumienia. Oto pracował przez wiele lat, ażeby poznać źródło wszelkiej wiedzy, a odkrył jeno

pustkę w swoim sercu. Niema w nim żadnej żądzы żadnej wiary, żadnej miłości, tylko przeczucia: że syn jedynie oślepie i że zbliża się czas, kiedy społeczeństwo się rozprzęgnie. Te rozważania przerywa głos Anioła Stróża, który w miłości bliźniego wskazuje mu zbawienie i otuchę. Szatan-Mefisto przechodząc, drwi z głupoty hrabiego. Następnie znika i ukazuje się znowu jako olbrzymi czarny orzeł. Wzywa on hrabiego do walki o tradycję: „Szablą ojców twoich bij się o ich cześć i potęgę.“ Hrabia jest posłuszny wezwaniu orła i gotów do czynu. „Przeszłości, bądź mi ku pomocy — a jeśli duch twój wrócił do łona Boga, niechaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą, siłą i czynem.“ Jest to zapowiedź części następnej poematu, w której hrabia Henryk wystąpi jako wódz arystokracji.

W następnej scenie widzimy lekarza, którego stroskany hrabia przywołał do syna. Orciowi grozi ślepotą. Lekarz nie czyni żadnej nadzieji. Wprawdzie Orcia uspokaja i zapewnia, że zdrow będzie, ale na stonie oświadcza hrabiemu, że wszelki ratunek jest niemożliwy, gdyż nerw wzrokowy jest osłabiony zupełnie. Kiedy hrabia ofiarowuje mu połowę majątku za ocalenie syna, lekarz odpowiada: „Dezorganizacja nie może się zreorganizować“ i odchodzi. Hrabia z rozpaczы klęka i zapytuje Orcia czy jeszcze go poznaje, lecz Orcio go nie słyszy. „Pocóż uklękłem — pyta siebie hrabia — gdzie mam się upomnieć o krzywdę mojego dziecka? Milczmy raczej — Bóg się z modlitw, szatan z przekleństw śmieje. Na to mu głos jakiś odpowiada: „Twój syn poetą — czegoż żądasz więcej“

Znowu przychodzi wezwany lekarz, a ojciec chrzestny Orcia opowiada mu, że żona hrabiego umarła na pomieszanie zmysłów. Wchodzi hrabia Henryk i wyjaśnia czemu wezwał lekarza. Oto od kilku dni około godziny dwunastej budzi się Orcio, wstaje i mówi przez sen. Przychodzą do pokoju sypialnego i tam śledzą Orcia, który właśnie podniósł się z łóżka i z rękami na piersiach założonemi, z oczami zamkniętymi, mówi rzeczy dla obecnych niezrozumiałe: „Matko moja, proszę Cię — matko moja, naszlij mi teraz obrazów i myśli, bym żył wewnątrz, bym stworzył drugi świat w sobie, równy temu, jaki postradałem.“ Wówczas lekarz stwierdza, że Orcio ma pomieszanie zmysłów, połączone z nadzwyczajną drażliwością nerwów, co powoduje stan równoczesnego snu i jawy, jaki właśnie widzą. Głosy odchodzących budzą Orcia. Ojciec uspakaja go i kołysze do snu, a następnie błogosławi go i żegna, gdyż wyrusza na walkę przeciw wielu ludziom. Wzruszająca jest miłość ojcowska, bijąca ze słów hrabiego. Widać, że miłość to szczerza, a nie poetyzowana. „Gdzie się ty podziejesz, sam jeden i wśród stu przepaści, ślepy, bezsilny, dziecię i poeto zarazem, biedny śpiewaku bez słuchaczy, żyjący duszą za obrębami ziemi, a ciałem przykuty do ziemi — o ty nieszczęśliwy, najnieszczęśliwszy z aniołów, o ty mój synu?“

Część trzecia. — Wstęp prozaiczny.

Poeta pokazuje brak jakichkolwiek wierzeń u współczesnych ludzi. Są miernoty bez serca i mózgu,

pomimo których świat i życie pędzą ku swoim celom.

U bram miasta widać zgromadzone, obozujące tam tłumy. Rozbito namioty i zastawiono stoły mięsami i napojami. Z rąk do rąk krążą kielichy, wywabiając z gardzieli tłumu okrzyki groźby lub przekleństwa.

Tłum pomimo pozorną swą różnorodność, dość jednolity. Same postacie nędzne, w łachmanach, z uznojonemi twarzami i spracowanemi dłońmi, w których jedni dzierżą kosy, drudzy młoty i heble. Nie brak w tłumie i kobiet, żon i matek owych robotników. I na ich postaciach nędza wycisnęła swe piętno. Z oczu wyziera im wściekłość głodnych wilczyc.

Nagle powstało w tłumie wielkie poruszenie. Oto na stół wyskoczył i do tłumu przemawia jakiś człowiek. Widać, że czuje się przywódcą, bo przemawia pewnie, ostro i wyraźnie. Jest to człowiek o surowej twarzy, łysej czole i żółtem, zwiędłym obliczu, któremu jeszcze powagi dodaje czarna broda. Widać, że panuje nad duszami, bo skoro głos wyteży i rękę podniesie, chylą się głowy, jak przed błogosławieństwem.

Skończył i ogłaszający krzyk aprobaty był odpowiedzią na jego słowa: „Niech żyje Pankracy, chleba nam chleba.“

U stóp mowcy opiera się na stole człowiek o wschodnim wyglądzie, mający na ustach złośliwy uśmiech, a na palcach złote pierścienie. I on chrapliwym głosem woła: „Niech żyje Pankracy.“ Ten spojrział na niego i rzekł: „Obywatelu przechrzto, podaj mi chustkę.“

Tymczasem ciągle trwają okrzyki: „Chleba nam chleba, chleba! Śmierć panom, śmierć kupcom.“

Chór przechrztów siedząc nad otwartym Talmudem, śpiewa pieśń zguby i przekleństwa czcicielom Krzyża. Oni tylko pozornie obmyli się wodą chrztu, ażeby tem łatwiej wcisnąć się do społeczeństwa chrześcijańskiego i siejąc demoralizację, szczując jednych na drugich, wnieść fermenty rozkładu i zguby.

„Jehowa pan nasz“ — wołają — „On nami, gdyby splotami niezmiernej gadziny, oplół świat czcicieli Krzyża, panów naszych dumnych, głupich, niepiśmiennych. Na wolności bezładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie osadzim potęgę Izraela.“

Wtem słyhać pukanie do drzwi. Główny przechrzta chowa czempredzej Talmud, a reszta dla upożyczenia bierze się gorliwie do ostrzenia puginatów i kręcenia powrozów. Wchodzi Leonard, prawa ręka Pankracego i pochwaliwszy pracę wszystkich, wzywa głównego przechrztę do Pankracego. Ten wychodzi razem z Leonarde, zaś chór pozostałych trjumfuje z głupoty przewrotowców. Zabijają oni swoich panów, ażeby potem im uledez.

Pankracy sam w namiocie zastanawia się nad ciemnotą tłumu, który za każdym jego słowem wnosił okrzyki, jednakowoż żadnej myśli nie zrozumiał.

Wchodzi przechrzta i Leonard. Pankracy zapytuje przechrztę czy zna hrabiego Henryka, a na odpowiedź potakującą, rozkazuje mu udać się do hrabiego i zawiadomić go o tem, że Pankracy chce się z nim widzieć

osobiście pojutrze w nocy. Kiedy przechrzta żąda kilku ludzi dla obrony, Pankracy rozkazuje mu iść bez straży, mówiąc, że nawet gdyby hrabia Henryk go zabił, to będzie męczennikiem za wolność ludu.

Po wyjściu przechrzty, Leonard w gwałtownych słowach zarzuca Pankracemu, że zamiast od razu ruszyć na garstkę arystokratów, zamkniętych w okopach św. Trójcy i zgnieść ich, tenże zaczyna próbować układów, chwyta się półśrodków, jednym słowem zdradza sprawę ludu. Na to odpowiada mu Pankracy, że oni jutro lub pojutrze i tak zginą, a on chce porozmawiać z hrabią Henrykiem, bo taka jest jego wola. Uspakaja gwałtowność Leonarda zapewnieniem, że mógłby go za słowa na śmierć skazać, jednakże nie czyni tego, znabowiem gorące bezinteresowne oddanie się Leonarda sprawie ludu i wie, że zapal jego jest wynikiem młodych lat od których stroni rozsądek. Zarazem uwiadamia Leonarda, że hrabia Henryk zbiera swoich włościian ażeby na czele ich pośpieszyć na pomoc, zamknięte w obozie św. Trójcy arystokracji i dlatego też on Pankracy chce widzieć hrabiego i przeciągnąć go na swoją stronę. Każe Leonardowi towarzyszyć sobie pojutrze w nocy, kiedy pójdzie na spotkanie z hrabią.

Po wyjściu Leonarda, zastanawia się Pankracy nad przyszłymi wypadkami i ewentualnymi skutkami swej pracy. Wie on z pewnością, że zwyciężyć musi, że padnie ów arystokrata, wódz nieprzyjacielskiej gromadki, jednakże indywidualność jego niepokoi go. Boryka się również z ponuremi myślami, co będzie dalej, skoro runie ostatnia zaporą. Czyżby ideje jego były bez-

plodne? Nie, one są stanowczo wielkie: wielu ludzi uczyniło sławnymi, świat nowy stworzyły.

Scena przedstawia łąkę w środku boru, na której leżą szubienice, namioty, ogniska i tłumy ludzi. Przechrzta prowadzi hrabiego Henryka w przebraniu, w czarnym płaszczu i czerwonej czapce, pomiędzy ludem, pokazując mu rozmaite grupy. Hrabia grozi przechrzcie, że go zastrzeli jak psa, jeśli ten go wyda.

Najpierw widzą grupę mężczyzn i kobiet, tańczących i śpiewających pieśń triumfu sobie i piosenkę zgłady panom. Jedna z dziewcząt zapytana przez hrabiego, powiada, że już dosyć miała upokorzeń i szurowania widelców, teraz nadszedł dla niej czas zabawy i tańca.

Przychodzą potem do klubu weselących się lokaji. Każdy z nich chętnie zamordowaniem swego pana; oto już minął czas czyszczenia bucików i pomazania, teraz oni panami.

Z kolei uwagę hrabiego zwraca chór rzeźników. Ci dzikimi głosami obwieszczają rozkaz rozlewania krwi, wszystko jedno czy ludzkiej, czy też zwierzęcej.

Dalej spotykają żołnierza w dziwnym mundurze z trupią główką na czapce. Przechrzta objaśnia, że jest to Bianchetti, najemny wódz wojsk ludowych. Na zapytanie hrabiego nad czem tak myśli, pokazuje im Bianchetti w oddali bastjony św. Trójcy, mówiąc, że możnaby je obejść jarem i podkopać się. Kiedy przechrzta daje znaki generałowi, ażeby przy hrabji nie odkrywał swych planów, grozi mu po cichu hrabia Henryk natychmiastową śmiercią od kuli rewolwerowej. Lecz Bianchetti chociaż znaków przechrzty nie dostrzegł,

sam wstrzymuje się w zwierzeniach i odchodząc zapowiada, że plany jego każdy pozna po zwycięstwie.

Następnie hrabia i jego przygodny towarzysz są świadkami śmierci jakiegoś rzemieślnika, który przelatywał przekleństwa na fabrykantów i kupców umiarkowanego cięńczenia.

Przechrzta doradza hrabiemu, żeby wrócił do swoich ludzi, ten jednakże pragnie pozostać. Spotykają wręcz gromadę chłopców, którzy błądzą się nad swoim panem.

Scena przedstawia inną część boru, wzgórze z rozpalonymi ogniami i zgromadzenie ludzi przy pochodniach. Hrabia i przechrzta są świadkami obrzędów nowej wiary rewolucyjnej, którą odprawia Leonard, będący arcykapłanem. Odbywa się to na gruzach jakiegoś kościoła, który rewolucjoniści zburzyli pracując przez czterdzieści dni i nocy. Ponad trzema dymiącymi ogniskami, z góry Leonard, twarz jego płonie, a głos jego brzmi szaleństwem. Wokół niego stoją „kapłani, filozofy, poeci, artyści, córki ich i kochanki”. Leonard namiętnym głosem przyzywa ku sobie z pośród dziewic swoją oblubienicę, a ta przejęta żarem jego uczucia, biegnie ku niemu i mdleje mu w ramionach. Leonard trzymając zemdląłą, jakby w obłąkanem jakimś natchnieniu, śpiewa pieśń nowej wiary; „My oboje obrazem rodu ludzkiego, wyzwolonego, zmartwychwstającego — patrzcie — stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga”. „Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebiosy. — Panie swobody i rozkoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemieży twym

niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi utoną stare łyzy i cierpienia rodu ludzkiego — życiem jest odtąd szczęście — prawem jego równość, a kto inne tworzy, temu stryczek i przekleństwo“. — Taka jest ewangelja wiary Leonarda. Słowa jego działają na tłum podniecająco jak narkotyki. Zewsząd podnoszą się okrzyki na jego cześć, a na zagładę królom i panom. Wszystkich ogarnia szal użycia i mordy. Leonard na prośbę jakiegoś młodzieńca użycza mu „święceń zbójeckich“. Wreszcie Leonard opuszcza wzgórze, a za nim tłoczą się kapłani, filozofowie, kobiety tańczące jak w konwulsjach i całe rozpasane tłumy.

Leonard przechodząc obok hrabiego zwraca uwagę na dumną jego postawę i zapytuje kim jest. Hrabia odpowiada: „Jestem mordercą klubu hiszpańskiego i dopiero dziś przybyłem“. Na zapytanie kogo pierwszego zamierza zamordować, odpowiada hrabia: „Ciebie pierwszego, jeśli nam się, sprzeniewierzysz“. Te słowa podobają się Leonardowi i odchodąc, każe hrabiemu nazajutrz się stawić u namiotu wodza. Po Leonardzie pozdrawiają gościa kapłani, zachęcając go do mordów w obronie wolności; potem filozofowie, dziewczęta, dzieci, chór artystów ponawia słowa kapłanów.

Skoro już tłumy wyznawców Leonarda przeszły, pozostał znowu hrabia sam z przechrztą. Ogarnia go rozpacz, albowiem przeczuwa, że garstka jego towarzyszy ulegnie rozpasanym tłumom. Budzi się w nim poeta; prosi Boga o taką potęgę słowa, ażeby w jednym słowie mógł określić ten świat nowy i oznaczyć jego przyszłość. Z tych uniesień poetyckich budzi go głos jakiś mówiący: „Dramat układasz“. Jest to jakby głos

refleksji, który oświadcza hrabiemu rzeczywistość i pobudza go do energii.

Przysięgą zemstę za zhańbione popioły ojców i wraca z przechrztą do swoich ludzi. W drodze dochodzą go głosy duchów z lasu, skarżących się żałośnie na wygnanie Chrystusa i burzenie jego kościołów. „Ja go wam oddam” — woła hrabia — na tysiącach krzyżów rozkrzyżuję nieprzyjaciół Jego.” Osiągnąwszy miejsce, w którym zostawił swoich ludzi, hrabia przyzywa ich hasłem „Jezus i szabla moja”, następnie żegna przechrztę, jeszcze raz zaręczając mu bezpieczeństwo Pankracego.

W starej komnacie, ozdobionej portretami przodków, herbami i wszelaką bronią, oczekuje hrabia Henryk przybycia Pankracego. Uprzymiśniając sobie, że za chwilę stanie przed nim wódz rewolucjonistów, hrabia prosi cienie swych przodków, ażeby mu użyczili swej lwiej odwagi, ażeby wiara w Chrystusa, gorąca i nieubłagana zstąpiła w niego i użyczyła mu takiej siły, iżby strącił do nicości człowieka, który wnet przybędzie, człowieka bez nazwiska i bez przodków.

Bije godzina dwunasta i wchodzi zbrojny sługa, meldując przybycie Pankracego. Hrabia wita go uprzejmie jako gościa i pije jego zdrowie. Pankracy patrząc na „godła czerwone i błękitne” domyśla się, że to są herby i powiada, że „coraz mniej jest takich znaczków na powiechrzni ziemi.” „Z pomocą Bożą wkrótce tyśiące ich ujrzysz” odpowiada hrabia. Pankracy widzi w tych słowach typową butę szlachcica, który jeszcze się odgraża, choć nie ma już ani pieniędzy ani wojska, a ciągle udaje, że wierzy w Boga. Hrabia

uważa ateizm za starą formułę bez wartości, a po Pankracym spodziewał się czegoś nowego. „Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej.” — Replikuje Pankracy — „Jęk, przez rozpacz i boleść wydarty tysiącom tysiąców — głód rzemieślników. nędza włościan — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości — oto wiara moja — a Bóg mój na dzisiaj to myśl moja. Hrabia odpowiada, że siłą swą opiera na wierze w Boga, który przodkom jego użyczył władzy. Wtedy Pankracy perywując tę teologiczną dysputę, przystępuje do rzeczy właściwej. Oto przybył on, ażeby hrabięgo poznać i ocalić. Przedkłada, że pozostało mu zaledwie kilka morgów ziemi do obrony przeciwko tysiącom i że dwudziestu dni nie wytrzyma, nie mając dostatecznej żywności i broni. Proponuje więc hrabiemu, ażeby rozpuścił swój hufiec, a on Pankracy zaręczy mu słowem, że to sprawie ludowej zaszkodzić nie może, albowiem syn hrabięgo stoi nad grobem, on zaś sam będzie jakgdyby ostatnim przedstawicielem wymarłej arystokracji.

Hrabia prosi Pankracego, ażeby go nie obrażał w jego własnym domu, gdyż jako gościowi, nie może się tem samem odwdziaczyć. Na to Pankracy drwi ze wszystkich hasel jakoto: honor, wiara, ojczyzna, które szlachta wywiesiła na swoim sztandarze, on zna tylko jedno prawo: „Zgrzybiali rolnaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodemu, zgłodniałemu i silnemu”, Znam twój świat, odpowiada na to hrabia, widziałam twój motłoch szalejący w pijaństwie i rozpuszcie, są to tylko stare zbrodnie świata, odziane w świeże szaty.

Ty sam pogardzasz nim i będziesz wkrótce i sobą pogardzał.

Pankracy twierdzi na to, że jego świat wprowadzie się rozwinął, ale ma przyszłość świetną przed sobą. Z teraźniejszego motłochu wyjdą ludzie przyszłego pokolenia, dzielni i mocni, którzy zawładną całym światem. A ziemia będzie wówczas jednym miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym. Nie będzie pracy, nie będzie mąk, panować będzie Bóg ludzkości, lepszy aniżeli Bóg, który niby zbawił ludzkość, a przyniósł jej w rzeczywistości dwa tysiące lat nędzy.

„Widziałem ten krzyż, bluźnię co, w ^{starym} Rzymie — odpowiada hrabia, „u stóp Jego leżały grupy potężniejszych sił, niż twoje — sto bogów, twemu podobnych, walało się w pyle, głowy skaleczonej podnieść nie śmiało ku Niemu“.

Pankracy widząc, że jego argumenta nie przekonują hrabiego, chwyta się ostatniej broni i ażeby połechtąć jego ambicję poetycką, oświadcza hrabiemu, że zna jego utwory poetyckie i zapytuje czy prawdą jest to, co w nich głosił; „Jeżeli więc umiesz sięgać w nieskończoność, jeżeli kochasz prawdę i szukasz jej szczerze, jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie odrzucaj tej chwili zbawienia“. Te słowa Pankracego zachwiały na chwilę postanowienia hrabiego. Zastanawia się nad niemi, duma i utwierdza w nim się przekonanie, że przed stu laty ugoda byłaby jeszcze możliwą; teraz już zapóźno, trzeba się mordować nawzajem. Zapytuje zresztą Pankracego, czy on wie, jakie przeznaczenie go czeka; wszak i on jest człowiekiem z gliny, i los jego zależy od pierwszej lepszej kuli.

Pankracy powiada mu, żeby się nie łudził taką nadzieją, bo on w każdym razie przeżyje swe zwycięstwo, jemu jednak radzi, ażeby przynajmniej syna swego ocalił. Hrabia jednak już stanowczo jest zdecydowany: „Świat cieleska do ciebie należy“ rzecze — „tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem — ale dalej nie zachodź i precz, precz odemnie!“

Wtedy Pankracy rzuca mu obelgi, zowiąc go sługą jednej myśli, podczas gdy on jest jej twórcą. Hrabia odpowiada mu, że oni dwaj porozumieć się nie mogą, albowiem Pankracy jest włóczęgą, który co noc gdzieindziej rozbija namiot, podczas gdy on przywiązany jest do tradycji i do swych przodków, na których portrety z dumą wskazuje.

Na to Pankracy drwiąc ze słów hrabiego, wskazuje na portrety przodków i wylicza wszystkie ich zbrodnie i wobec ludu bezceństwa. Hrabia zarzuca mu kłamstwo, twierdząc wprost przeciwnie, że lud dużo zawdzięcza szlachcie. „Słowa twoje“ — powiada hrabia — „łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancerzach, one ich nie wzruszą nawet — one zaginą, jak skowyczenia psa wściekłego.“ Rozmowa hrabiego Henryka z Pankracym kończy się wymianą groźnych, złowrogich słów.

„Do widzenia na okopach św. Trójcy“ — powiada Pankracy. — „A kiedy wam zabraknie kul i prochu..“ „To się zbliżym na długość szabel naszych“ replikuje hrabia i rozkazuje swemu słuzącemu odprowadzić Pankracego aż do ostatnich stanowisk swego obozu.

Część czwarta.

Wstęp prozaiczny zawiera opis baszt św. Trójcy, które w promieniach wschodzącego słońca i w morzu mgieł zalewających kotlinę pod zamkiem, wyglądają jak skała dumnie stercząca wśród wód Oceanu. Mgły opadają i oto widać w dolinie tłumy ludzi, dążących do zamku, jakby do miejsca Sądu ostatecznego.

Scena przedstawia katedrę w zamku św. Trójcy. W stalach siedzą senatorowie, dygnitarze, panowie a w głębi tłoczy się szlachta. Przed wielkim ołtarzem siedzi w krześle złotawem arcybiskup, trzymając miecz na kolanach. Ku niemu zbliża się powoli hrabia Henryk, trzymając w ręku zdobyły sztandar. Przyjście jego wywołuje w grupie arystokratów ironiczne powiedzenia, podyktowane widoczną niechęcią.

Hrabia klęka przed arcybiskupem i składa u jego stóp sztandar, arcybiskup zaś ofiaruje mu miecz błogosławiony przez św. Florjana i oddaje w ręce jego dowództwo zamku i obronę jego przed buntownikami. Liczne głosy wznoszą okrzyk na cześć hrabiego Henryka, jeden tylko głos protestuje; skoro jednak hrabia wzywa malkontenta do wystąpienia, nikt się nie zjawia. Wtedy hrabia przyjmuje szablę i dowództwo i wraz z obecnymi przysięga, że ani głód ani pragnienie nie zdołają go skłonić do hańby poddania się i że raczej śmierć wybierze. Chór kapłanów błaga Boga o siłę i pomoc dla dowódcy zamku.

Scena następna dosadnie przedstawia tchórzostwo arystokracji zamkniętej w okopach św. Trójcy. Po wyjściu z katedry na dziedziniec zamkowy, garstka panów otacza hrabiego Henryka. Jakiś hrabia zapytuje go cichaczem, czy wszystko stracone; baron znowu informuje się jakim człowiekiem jest Pankracy i czy będzie on miał choć trochę litości, skoro dostanie się w jego ręce; książę wreszcie doradza mu też na boku, ażeby rozpoczął układy. Wszystkim im grozi hrabia Henryk karą śmierci za szerzenie popłochu i powiada, że będzie się bronił do ostatka.

W scenie następnej hrabia rozkazuje Jakubowi umocnić basztę Eleonory i w razie potrzeby otworzyć żołnierzom dla zachęty piwnice hrabiów i książąt.

Zostawszy sam, hrabia nabiera tchu do śmiertelnej walki, jaka ma nastąpić. Zstępuje na taras i stamtąd nienawistnym wzrokiem obejmuje cały obóz nieprzyjacielski. Czuje z rozkoszą, że przez kilka dni walki, jaką jeszcze przebyć musi — albowiem przewiduje klęskę i śmierć — jest tutaj niepodzielnym panem i władcą wielu istnień ludzkich. „Dni kilka jeszcze pozostało, użyję ich rozkoszy mej kwoli — panować będę — walczyć będę — żyć będę“. Radował się go, że nie dzięki staraniom, nie podstępem osiągnął dowództwo zamku, lecz nagle i nadszpedzanie, jak zawsze o tem marzył.

Hrabia wróciwszy ze zwycięskiej wycieczki rozmawia z Orciem. Dziecko twierdzi, że jeszcze nie nadeszła chwila zgonu dla ojca i pociąga go za sobą do lochów, gdzie torturowano skazańców. Hrabia niechętnie schodzi do podziemi, wie bowiem z doświadczenia, że Orc o

pokaże mu coś nadprzyrodzonego, przerażającego, a jemu do zbliżającej się walki silnych trzeba nerwów. I istotnie w lochach ukazują się przerażające widma storturowanych ofiar i odbywają sąd nad hrabią, jako potomkiem tych, którzy ich skazali na śmierć męczeńską. „Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czczył prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś, potępion na wieki. Dni kilka jeszcze, chwały ziemskiej, znikomej, której mnie i braci moich pozbawili nas dziady twoje a potem zaginiesz, ty i bracia twoi“. Hrabia nieustraszony postępuje naprzód ku duchom i wyszydza je, ulegając jednak prośbom Orcia wraca, a kiedy Orcio, któremu ukazała się wizja pośmiertnych mąk ojca, mdleje, chwytą go w ramiona i ucieka z nim.

W jednej z sal zamku św. Trójcy stoi hrabia otoczony gromadą kobiet, dzieci i starców. Kilku panów klęczy nawet o stóp jego. Wszyscy błagają go, ażeby się poddał Pankracemu, ażeby się zgodził na warunki, podane przez posła Pankracego. A posłem tym jest sędziwy starzec, niegdyś ojciec chrzestny Orcia. Ale hrabia Henryk jest nieugięty. Ani skomlenia głodujących dzieci i kobiet, ani prośby tchórzliwych arystokratów, ani argumenta posła nie mogą go skłonić do zmiany postanowienia. Wtedy kilku dygnitarzy otwarcie mówić zaczyna o wypowiedzeniu posłuszeństwa hrabiemu i o nawiązaniu rokowań na własną rękę. I to nie wzrusza hrabiego Henryka. Kiedyście mię wezwali, przysięgłem zginąć na tych murach — dotrzymam i wy wszyscy zginiecie wraz ze mną. — Ha, chce się wam żyć jeszcze! Ha! zapytajcie ojców naszych, po co gnębili

i panowali". Tu przypomina obecnym arystokratom, jak pędzili życie bezecne i nieczynne. „Czego się tak śpieszycie do hańby” — zapytuje — co was tak nęci, by upodlić wasze ostatnie chwile? Naprzód raczej ze mną, naprzód mości panowie, tam gdzie kule i bagnety — nie tam gdzie szubienica i kat milczący, z powrozem w dłoni na szyje wasze”. Te słowa dowódcy wywołują u nielicznych zapal do walki, większość jednak żąda układów, zwłaszcza że poseł Pankracego obiecuje im nietykalność. Wówczas hrabia Henryk grozi posłowi śmiercią i rozkazuje przyprowadzonemu przez Jakóba oddziałowi zbrojnych wziąć go na cel. Poseł umyka, wszyscy zaś obecni wzywają żołnierzy do pojmania dowódcy i wydania go Pankracemu. Ale hrabia Henryk, podchodząc od żołnierza do żołnierza, przypomina im razem przebyte niebezpieczeństwo i zapytuje czy go opuszczą. Wznoszą okrzyk na jego cześć. Wtedy rozkazuje rozdać im resztę zapasów, a potem gotować się do ostatecznej walki.

W okopach św. Trójcy, wśród trupów i dział potrzaskanych, oparty o szaniec, stoi hrabia Henryk rozmawiając z Jakóbem o odpartym ataku nieprzyjaciół. Z rozmowy tej wynika, że brak już zupełny amunicji i że długo się już nie utrzymają. Wobec tego hrabia każe sobie przyprowadzić syna, ażeby się z nim pożegnać przed ostateczną walką. Kiedy Jakób przyprowadza Orcia, poleca mu z kilku żołnierzami obejść salę zamkowe i wszystkich mężczyzn popędzić na mury, nie wyłączając hrabiów i książąt.

Pozostawszy sam ze synem, hrabia tkliwie go całuje. Orcio oświadcza mu, że dziś wieczorem odejdzie do matki, tak bowiem przepowiedział mu jej głos. Ojciec żegna go z żalem i rozpaczą: „Różne drogi nasze — ty zapomnisz o mnie wśród chórów anielskich, ty kropli rosy nie rzucisz mi z góry“.

Tymczasem huk dział i karabinów rozlega się coraz mocniej, a krzyk walczących ludzi zbliża się. Przez dziedziniec przechodzi orszak hrabiów i książąt prowadzonych przez żołnierzy na mury. Jęczą oni i żalą się, że ich zgłodniałych i bezbronnych pędzą do walki.

• Zgiełk bitwy rozlega się coraz bardziej. W chwili kiedy hrabia Henryk uściska Orcia, tenże pada trafiony kulą. Wtedy hrabia dobywszy szabli rzuca się w wir walki.

Inna strona okopów. Jakób śmiertelnie raniony leży rozciągnięty na murze. Nadbiega hrabia Henryk i zapytuje Jakóba o jego stan. Ten przeklinając hrabiego umiera: „Nie potrzeba mi dłużej“ — powiada dowódca — „wyginęli moi, a tamci klęcząc wyciągają ramiona ku zwycięzcom i hełkocą o miłosierdzie“.

Widząc, że ludzie Pankracego szukają go wszędzie, ażeby go pochwycić żywcem, hrabia postanawia rzucić się ze skały i zginąć raczej śmiercią samobójczą, aniżeli popaść w ręce wrogów. „Jestem, ale wy mnie sądzić nie będziecie. Ja się już wybrałem w drogę, ja stąkam ku sądowi Boga“. Staje na odłamku baszty, wiszącym nad przepaścią, a na widok nadbiegających żołnierzy Pankracego, z okrzykiem: „Poezjo bądź mi przekłeta, jako ja sam będę na wieki“ skacze w przepaść.

Na dziedzińcu zamkowym stoi dumny i syt zwycięstwa Pankracy z Leonardem. Żołnierze przyprowadzają przed niego wszystkich arystokratów, zakutych w łańcuchy. Pankracy skazuje ich na śmierć; ktoby mu jednak wskazał miejsce ukrycia hrabiego Henryka, temu obiecuje życie. Lecz tego nikt nie wie. Ojciec chrzestny prosi Pankracego o łaskę dla jeńców, ten jednak każe mu dopilnować ich śmierci; kiedy zaś były poseł wzdyga się mordować swych braci, Pankracy i jego poświęca wspólnemu losowi.

Pankracy ciągle dopytuje się o hrabiego Henryka. Wór złota ofiaruje za żywego lub zmarłego Henryka. Właśnie zbliża się oddział żołnierzy, a naczelnik melduje Pankracemu, że na rozkaz generała Bianchetti przesukał cały zamek i przy trzecim bastjonie ujrzał człowieka, który na ich widok rzucił się w przepaść. Została po nim tylko szabla z herbem, znaleziona o kilka kroków od miejsca upadku. Pankracy ogląda szablę i poznaje herb hrabiego Henryka. „On jeden dotrzymał słowa“ — rzekł Pankracy — za to chwała jemu, gilotyna wam“.

Jeńców odprowadzają na śmierć. Pankracy zostawszy z Leonardem wstępuje na basztę. Na uwagę uczynioną przez Leonarda, że powinien teraz odpocząć, odpowiada Pankracy, że nie nadszedł jeszcze czas spoczynku. Ogromne obszary zabrane arystokracji trzeba zaludnić, urządzić i rozdzielić między lud. Roboty jest dość. Uwagę Pankracego zwraca ciało Jakóba, powiernika hrabiego Henryka. Przypomina go sobie i coś w rodzaju żalu go zdejmuje,

Wtem rzuciwszy okiem na chmurę stojącą ponad nieopodal leżącym szczytem, zbladł tak bardzo, że zaniepokoił tem Leonarda: „Cóż ci to mistrzu?” pyta. A Pankracy wskazuje mu na znak krzyża, palący się na chmurze i na postać krzyż ten dzierżącą. „Jak słup śnieżnej jasności stoi ponad przepaściami — oburącz wsparł się na krzyżu, jak na szabli mściciel. — Ze splecionych piorunów, korona cierniowa”. I patrzy Chrystus na Pankracego, patrzy surowo i groźnie jak sędzia sprawiedliwy. A Pankracy, ten pan życia i śmierci milionów ludzi, wije się jak robak, opada go trwoga śmiertelna, albowiem wzrok Zbawiciela, sięgając do dna duszy, pali go jak żywy ogień. Próżno Leonard zadławia mu pięściami żrenice, próżno dłońmi zatyka oczy, straszliwy widok nie ustępuje. Leonard choć sam nic nie dostrzega, przerażony zmianą w twarzy Pankracego i jego wołaniem „ciemności, ciemności” krzyczy o pomoc. Ale wszystko daremne. Pankracy z okrzykiem „Galilaeae vicisti”, stacza się w objęcia Leonarda i kona.

NIEBOSKA KOMEDJA.

CZEŚĆ PIERWSZA-

Gwiazdy w koło twojej głowy — pod twojemi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pedzi i rozdziela mgły — co ujrzysz, jest twojem — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twojem — chwale twojej niby nic nie zrówna.

■

Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze. — Splatasz serca i rozwiązujesz gdyby wianek, igraszkę palców twoich — łyzy wyciskasz — suszysz je uśmiechem i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki. — Aie sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? — Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością. — Biada ci — biada! — Dziecię co płacze na łonie mamki — kwiat polny, co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie.

*

Skądżeś powstał, marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz? Kto cię stworzył w gniewie lub w ironji? — Kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udąć anioła chwilą, nim zagrzeżniesz w błoto, nim jak płaz

pójdiesz czołgać i zadusić się mułem? — Tobie i niewieście jeden jest początek. —

*

Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarza jęć policzon między tony harf niebieskich. — Twoje rozpacz i westchnienia opadają na dół i szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana. —

*

Nie przeto wyrzekam na ciebie, Poezjo, matko piękności i zbawienia. Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach, mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywymi głosami twej chwały. —

*

Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś, jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki, Pan, przed którym się uniżają stworzenia i mówią: „On jest tutaj“. — Taki cię będzie nosił gdyby gwiazdę na czole swoim, a nie oddzieli się od twej miłości przepaścią słowa. — On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto cię nie dochowa, kto zdradzi zawczasie i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłymi się bawi i grobowy wieniec spleta sobie przez całe życie. — Temu i niewieście jeden jest początek.

Anioł Stróż. Pokój ludziom dobrej woli — błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce — on jeszcze zbawion być może.—Żono dobra i skromna, zjaw się dla niego— i dziecię niechaj się urodzi — domu waszym — (przelatuje).

*

Chór złych duchów. W drogę, w drogę widma, lećcie ku niemu! — Ty naprzód, ty na czele, cieniu nałożnicy, umarłej wczoraj, odświeżony w mgłę i ubrany w kwiaty, dziewico, kochanko poety, naprzód. —

W drogę i ty, sławo, stare orle wypchany w piekle, zdjęty z palu, kędy cię strzelec zawiesił w jesieni — leć i roztocz skrzydła, wielkie, białe, od słońca, nad głową poety.—

Z naszych sklepów wynijdź, spróchniały obrazie Edenu, dzieło Belzebuba—dziury zalepiono i rozwiedziemy pokostem — a potem, płótno czarodziejskie zwiń się w chmurę i leć do poety — wnet się rozwiąż naokoło niego, opasz go skałami i wodami, naprzemian nocą i dniem. — Matko naturo, otocz poetę!

*

—Wiesz — kościół. Nad kościołem Anioł Stróż się kołysze.

Jeśli dotrzymasz przysięgi na wieki, będziesz bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego (znika).

Wnętrze kościoła — świadki — gronница na ołtarzu —
Ksiądz (ślub daje).

Pamiętajcie na to. —

Wstaje para — Mąż ściska rękę żony i oddaje ją krewnemu —
wszyscy wychodzą — on sam zostaje w kościele.

Zstąpiłem do ziemskich ślubów, bom znalazł tę,
o której marzyłem — przekłństwo mojej głowie, jeśli
ją kiedy kochać przestanę. —

*

Komnata pełna osób — bal — muzyka — świece — kwiaty —
Panna młoda walcuje i po kilku okręgach staje, przypadkiem
zapotyka męża w tłumie i głowę opiera na jego ramieniu.

Pan młody. Jakżeś mi piękna w osłabieniu swoim —
w młodości kwiaty i perły na włosach twoich —
płoniesz ze wstydu i znużenia — o wiecznie, wiecznie
będziesz pieśnią moją. —

Panna młoda. Będę wierną żoną tobie, jako matka
mówiła, jako serce mówi. — Ale tyle ludzi jest
tutaj — tak gorąco i huczno. —

Pan młody. Idź z raz jeszcze w taniec, a ja tu stać
będę i patrzeć na cię, jakim nieraz w myśli patrzył
na sunących aniołów. —

Panna młoda. Pójdę jeśli chcesz, ale już sił prawie nie
mam. —

Pan młody. Proszę cię, moje kochanie. —

(Taniec i muzyka).

*

Noc pochmurna — Duch zły pod postacią dziewczicy, lecąc —

Niedawnom jeszcze biegła po ziemi w taką samą
porę — teraz gnają mnie czarty i każą świętą uda-
wać. —

(leci nad ogrodem).

Kwiaty odzywajcie się i leccie do moich włosów.

(leci nad cmentarzem).

Świeżość i wdzięki umarłych dziewcz. rozlane

w powietrzu, płynące nad mogiłami, lećcie do jagód moich. —

Tu czarnowłosa się rozsypuje — cienie jej puklów, zawiśnijcie mi nad czołem! — Pod tym kamieniem zgastych dwoje ocz błękitnych — do mnie, do mnie ogień, co tlał w nich! za temi kraty sto gromnic się pali — księżną dziś pochowano — sukno atlasowa, biała jak mleko, oderwij się od niej! Przez kraty leci suknia do mnie, trzepocząc się, jak ptak — a dalej a dalej. —

*

Pokój sypialny — lampa nocna stoi na stole i blado oświeca męża, śpiącego obok żony. —

Mąż (przez sen). Skądże przybywasz niewipziaua, nie-słyszana oddawna — jak woda płynie, tak płyną twoje stopy, dwie fale białe — pokój światobliwy na skroniach twoich — wszystko, co marzył i kochał, zeszło się w tobie. — (przebudza się) Gdzież jestem! — ha, przy żonie — to moja żona. — (wpatrujesię w żonę) Sądziłem, że to jesteś marzeniem mojem, a otóż po długiej przerwie wróciło ono i różnem jest od ciebie. — Ty dobra i miła, ale tamta... Boże — co widzę — — na jawie! — *Dziewica*. Zdradziłeś mnie. (znika)

Mąż. Przekłeta niech będzie chwila, w której pojąłem kobietę, w której opuściłem kochankę lat młodych, myśl, myśli moich, duszę duszy mojej...

Żona (przebudza się). Co się stało — czy już dzień — czy powóz zaszedł? — Wszak mamy jechać dzisiaj po różne sprawunki. —

Mąż. Noc głucha — śpi — śpi głęboko.

Żona. Możesz zasnąć nagle, mój drogi? Wstanę i dam ci eteru.

Mąż. Zaśnij. —

Żona. Powiedz mi, drogi, co masz; bo głos twój niezwyčajny i gorączką nabiegły ci jagody. —

Mąż. (zrywając się). Świeżego powietrza mi trzeba. —
Zostań się — przez Boga, nie chodź za mną —
nie wstawaj, powiadam ci raz jeszcze. — (wychodzi).

*

Ogród przy świetle księżycy — za parkanem kościoła. —

Mąż. Od dnia ślubu mojego spałem snem odrętwiałych, snem żarłoków, snem fabrykanta Niemca przy żonie Niemce — świat cały jakoś zasnął wokoło mnie na podobieństwo moje — jeździłem po krewnych, po doktorach, po sklepach, a że dziecię ma się mi narodzić, myślałem o mamce. —

(Bije druga na wieży kościoła).

Do mnie, państwa moje dawne, zaludnione żyjące, garnące się pod myśl moją — słuchające natchnień moich — niegdyś odgłos nocnego dzwonu był hasłem waszem. — (chodzi i załamuje ręce). Boże, czyś Ty sam uświęcił związek dwóch ciał? czyś Ty sam wyrzekł, że nic ich rozerwać nie zdoła, choć dusze się odepchną od siebie. pójdą każda w swoją stronę i ciała gdyby dwa trupy zostawiały przy sobie? —

Znowu jesteś przy mnie — o moja — o moja, zabierz mnie z sobą — Jeśliś złudzeniem, jeśliś cię wymyślił, a tyś się utworzyła ze mnie i teraz objawiasz się mnie, niechże i ja będę marą, stanę się mgłą i dymem, by zjednoczyć się z tobą. —

Dziewica. Pójdzieszli za mną, w którykolwiek dzień przylecę po ciebie?

Mąż. O każdej chwili twoim jestem. —

Dziewica. Pamiętaj.

Mąż. Zostań się — nie rozpraszaś się, jak sen. — Jeśliś pięknością nad pięknosciami, pomysłem nad wszystkiemi myśli, czegoż nie trwasz dłużej od jednego życzenia, od jednej myśli? —

(Okno otwiera się w przyległym domu).

Głos kobiety. Mój drogi, chłód nocy spadnie ci na piersi; wracaj, mój najlepszy, bo mi tęskno samej w tym czarnym, dużym pokoju. —

Mąż. Dobrze — zaraz.

Znikł duch, ale obiecał, że powróci, a wtedy zegnaj mi, ogródka i domku, i ty, stworzona dla ogródka i domku, ale nie dla mnie. —

Głos. Zmiłuj się — coraz chłodniej nad rankiem. —

Mąż. A dziecię moje — o Boże! (wychodzi).

Salon — dwie świece na fortepianie — kołeczka z uspijonem dzieckiem w kącie — Mąż rozciągnięty na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach — Żona przy fortepianie.

Żona. Byłam u Ojca Benjamina, obiecał mi się na pojutrze. —

Mąż. Dziękuję ci. —

Żona. Posłałam do cukiernika, żeby kilka tort przysposobił, boś podobno dużo gości sprosił na chrzciny — wieś — takie czekoladowe, z cyfrą Jerzego Stanisława. —

Mąż. Dziękuję ci. —

Żona. Bogu dzięki, że już raz się odbędzie ten obrządek, że Orcio nasz zupełnie chrześcijaninem się stanie — choć już chrzczony z wody zdawało mi się zawsze, że mu nie dostaje czegoś. — (idzie do kołeczki)

Śpi, moje dziecię — czy już się tobie coś śni, że zrzuciłeś kołderkę — ot, tak — teraz leż tak — Orcio

mi dzisiaj niespokojny — mój maleńki, mój śliczny, śpij. —

Mąż. (na stronie). Parno — duszno — burza się gotuje — rychłóż tam ozwie się piorun, a tu pięknie serce moje? —

Żona (wraca, ślada do fortepianu, gra i przerywa, znowu grać zaczyna i przestaje znowu). Dzisiaj, wczoraj — ach! mój ty Boże, i przez cały tydzień i już od trzech tygodni, od miesiąca słowa nie rzekłeś do mnie — i wszyscy, których widzę, mówią mi, że źle wyglądam. —

Mąż. (na stronie). Nadeszła godzina — nic jej nie odwlecze, — (głośno) Zdaje mi się owszem, że dobrze wyglądasz. —

Mąż. (na stronie). Nadeszła godzina — nic jej nie odwiecze. — (głośno). Zdaje mi się owszem, że dobrze wyglądasz. —

Żona. Tobie wszystko jedno, bo już nie patrzysz na mnie, odwracasz się, kiedy wchodzę i zakrywasz oczy, kiedy siedzę blisko. — Wczoraj byłam u spowiedzi i przypominałam sobie wszystkie grzechy — a nie mogłam nic znaleźć takiego, coby cię obrazić mogło. —

Mąż. Nie obrażałaś mnie. —

Żona. Mój Boże — mój Boże. —

Mąż. Czuję, że powinienem cię kochać. —

Żona. Dobiełeś mnie tem jednym: „powiniennem” — ach lepiej wstań i powiedz: „nie kocham” — przynajmniej! już będę wiedziała wszystko. — (zrywa się z kolebki, bierze dziecko). Jego nie opuszczaj, a ja się na gniew twój poświęcę — dziecko moje kochaj — dziecko moje, Henryku. — (przykłęka).

Mąż (podnosząc). Nie zważaj na to, com powiedział — napadają mnie często chwile — nudy. —

Żona. O jedno słowo cię proszę — o jedną obietnicę tylko — powiedz, że go zawsze kochać będziesz. —

Mąż. I ciebie i jego — wierzaj mi. (Całuje ją w czoło — a ona go obejmuje ramionami — wtem grzmot słychać — zaraz potem muzykę — akord po akordzie i coraz dziksze).

Żona. Co to znaczy? — (dziecię ciśnie do piersi).

(Muzyka się urywa).

(Wchodzi) *Dziewica.* O mój luby, przynoszę ci błogosławieństwo i rozkosz — chodź za mną. —

O mój luby, odrzuć ziemskie łańcuchy, które cię opętają. — Ja ze świata świeżego, bez końca, bez nocy. — Jam twoja. —

Żona. Najświętsza Panno, ratuj mnie — to widmo blade, jak umarły — oczy zgasłe i głos, jak skrzypienie woza, na którym trup leży. —

Mąż. Twe czoło jasne, twój włos kwieciem przetykany, o luby. —

Żona. Całun w szmatach opada jej z ramion. —

Mąż. Światło leje się naokoło ciebie — głos twój raz jeszcze — niechaj zaginę potem. —

Dziewica. Ta, która cię wstrzymuje, jest złudzeniem. — Jej życie znikome — jej miłość jako liść, co ginie wśród tysiąca zeschłych — ale ja nie przemiję. —

Żona. Henryku, Henryku, zasłoń mnie, nie daj mnie — czuję siarkę i zaduch grobowy. —

Mąż. Kobieto z gliny i z błota, nie zazdrość, nie potwarzaj — nie bluźń — patrz — to myśl pierwsza Boga o tobie, ale tyś poszła za radą węża i stałaś się, czem jesteś. —

Żona. Nie puszczę cię. —

Mąż. O luby! rzucam dom i idę za tobą — (wychodzi).

Żona. Henryku — Henryku! — (mdleje i pada z dzieckiem — drugi grzmot),

Chrzest — Goście — Ojciec Benjamin — Ojciec chrzestny —
Matka chrzestna — mamka z dzieckiem — na sofie na boku siedzi Żona — w głębi służący. —

Pierwszy gość (po cichu). Dziwna rzecz, gdzie hrabla się podział. —

Drugi gość. Zabałamucił się gdzieś lub pisze. —

Pierwszy gość. A Pani blada, niewyspana, słowa do nikogo nie przemówiła.

Trzeci gość. Chrzest dzisiejszy przypomina mi bale, na które zaprosiwszy gospodarz, zgra się wilją w karty, a potem gości przyjmuje z grzecznością rozpaczy. —

Czwarty gość. Opuściłem śliczną księżniczkę — przyszedłem — sądziłem, że będzie sute śniadanie, a zamiast tego, jako Pismo mówi płacz i zgrzytanie zębów. —

Ojciec Benjamin. Jerzy Stanisławie, przyjmujesz olej święty?

Ojciec i Matka chrzestna. Przyjmuję. —

Jeden z gości. Patrzenie, wstała i stąpa, jak gdyby we śnie. —

Drugi gość. Roztoczyła ręce przed się i chwiejąc się, idzie ku synowi. —

Trzeci gość. Co mówicie! — Podajmy jej ramię, bo zemdleje. —

Ojciec Benjamin. Jerzy Stanisławie, wyrzekasz się szatana i pychy jego?

Ojciec i matka chrzestna. Wyrzekam się. —

Jeden z gości. Cyt — słuchajcie. —

Żona. (kładąc dłonie na głowie dziecięcia). Gdzie ojciec twój, Orcio? —

Ojciec Benjamin. Proszę nie przerywać. —

Żona. Błogosławie cię, Orciu, błogosławie, dziecko

moje. — Bądź poetą, aby cię ojciec kochał i nie odrzucił kiedyś. —

Matka chrzestna. Ale pozwólże moja Marysiu. —

Żona. Ty ojcu przysłużysz się i przypodobasz —
a wtedy on twojej matce przebaczy. —

Ojciec Benjamin. Bój się Pani Hrabina Boga. —

Żona. Przeklinam cię, jeśli nie będziesz poetą —
(mdleje — wynoszą ją sługi).

Goście. (razem). Coś nadzwyczajnego zaszło w tym domu — wychodźmy, wychodźmy! —

(Tymczasem obrząd się kończy — dziecię płaczące odnoszą do kolebki).

Ojciec chrzestny (przed kolebką). Jerzy Stanisławie, dopiero coś został chrześcijaninem i wszedł do towarzystwa ludzkiego, a później zostaniesz obywatelem, a za staraniem rodziców i łaską Bożą znakomitym urzędnikiem — pamiętaj, że ojczyznę kochać trzeba i że nawet za ojczyznę zginąć jest pięknie.

(Wychodzą wszyscy).

*

Piękna okolica — wzgórza i lasy — góry w oddali.

Mąż. Tegom żądał, o to przez długie modliłem się lata i nareszcie już bliski mojego celu — świat ludzi zostawiłem z tyłu — niechaj sobie tam każda mrówka bieży i bawi się dżbłem swoim, a kiedy go opuści, niech skacze ze złości lub umiera z żalu. —

Głos dziewczycy. Tędy — tędy. — (Przechodzi).

*

Góry i przepaście ponad morzem — gęste chmury —
burza. —

Mąż. Gdzie mi się podziała — nagle rozplynęły się

tym szczycie, otchłań podemną i wiatry huczą
przeraźliwie. —

Głos dziewicy (w oddaleniu). Do mnie mój luby —

Mąż. Jakże już daleko, a ja przesadzić nie zdołam
przepaści. —

Głos. (w pobliżu). Gdzie skrzydła twoje ?

Mąż. Zły duchu, co się nastrząsas z mnie, gardzę
tobą. —

Głos drugi. U wiszaru góry twoja wielka dusza,
nieśmiertelna, co jednym rzutem niebo przelecieć
miała, ot kona — i nieboga twoich stóp się pro-
si, by nie szły dalej — wielka dusza — serce
wielkie. —

Mąż. Pokażcie mi się, weźcie postać, którąbym
mógł zgnać i obalic. — Jeśli się, was ulękne, bo-
dajbym jej nie otrzymał nigdy. —

Dziewica (na drugiej stronie przepaści). Uwiąż się dłoni
mojej i wzleć ! —

Mąż. Cóż się dzieje z tobą ? — Kwiaty odrywają
się od skroni twoich i padają na ziemię a jak
tylko się jej dotkną, ślizgają jak jaszczurki,
czołgają, jak żmije, —

Dziewica. Mój luby ! —

Mąż. Przez Boga, suknię wiatr zdarł ci z ramion
i rozdarł w szmaty. —

Dziewica. Czemu się ociągasz ? —

Mąż. Deszcz kapie z włosów — koście nagie wy-
ziera z łona. —

Dziewica. Obiecałeś — przysiągłeś. —

Mąż. Błyskawica żrenice jej wyżarła. —

Chór duchów złych. Stara, wracaj do piekła —
uwiodłaś serce wielkie i dumne, podziw ludzi
i siebie samego. — Serce wielkie, idź za lubą swoją.

Mąż. Boże, czy Ty mnie za to potępisz, żem uwierzył, iż Twoja piękność przynosi o całe niebo piękność tej ziemi — za to, żem ścigał za nią, męczył się dla niej, a żem stał się igrzyskiem szatanów? —

Duch zły. Słuchajcie, bracia — słuchajcie!

Mąż. Dobija ostatnia godzina — Burza kręci się czarnymi wiry — morze dobywa się na skały i ciągnie ku mnie — niewidoma siła pcha mnie coraz dalej — coraz bliżej — z tyłu tłum ludzi wsiadł mi na barki i prze ku otchłani. —

Duch zły. Radujcie się, bracia — radujcie! —

Mąż. Napróżno walczyć — rozkosz otchłani mnie porywa — zawrót w duszy mojej — Bóg twój zwycięża! —

Anioł stróż (ponad morzem). Pokój wam, bałwany, uciszcie się! —

W tej chwili na głowę dziecięcia twego zlewa się woda święta. —

Wracaj do domu i nie grzesz więcej. —

Wracaj do domu i kochaj dziecię twoje. —

Salon z fortepianem — wchodzi *Mąż* — służący ze świecą za nim. —

Mąż. Gdzie pani?

Sługa. J. W. Pani słaba. —

Mąż. Byłem w jej pokoju — pusty. —

Sługa. Jasny Panie, bo J. W. Pani tu niema. —

Mąż. A gdzie?

Sługa. Odwieźli ją wczoraj...?

Mąż. Gdzie?

Sługa. Do domu warjatów (ucieka z pokoju).

Mąż. Słuchaj. Marjo, może ty udajesz, ukryłaś się

gdzie, żeby mnie ukarać? Ozwij się, proszę cię — Marjo — Marysiu!

Nie — nikt nie odpowiada. — Janie — Katarzyno! — Ten dom cały ogłuchł — oniemiał. — Tę, której przysięgłem na wierność szczęście, sam straciłem do rzędu potępionych już na tym świecie. — Wszystko, czegóm się dotknął, zniszczyłem i siebie samego zniszczę w końcu. — Czyż na to piekło mnie wypuściło, bym trochę dłużej był jego żywym obrazem na ziemi?

Na jakiejże poduszce ona dziś głowę położy? — Jakież dźwięki otoczą ją w nocy? — Skowyczenia i śpiewy obłąkanych. Widzę ją — czoło, na którem zawsze myśl spokojna, witająca, uprzejma przeziierała — pochylone trzyma — a myśl dobrą swoją posłała w nieznane obszary, może za mną — i błąka się biedna i płacze. —

Głos skądziś. Dramatukładasz. —

Mąż. Ha! — mój szatan się odzywa — (bieży ku drzwiom, rozpycha podwoje). Tataro mi osiedlać — płaszcz mój i pistolety! —

*

Dom obłąkanych w górzystej okolicy — ogród wokoło. — *Zona doktora.* (z pękiem kluczków u drzwi). Może Pan krewny hrabiny? —

Mąż. Jestem przyjacielem jej męża; on mnie tu przysłał.

Zona doktora. Proszę Pana — wiele sobie z niej obiecywać nie sposób — mój mąż wyjechał, byłby to lepiej wyluszczył — przywieźli ją zawczoraj — była w konwulsjach. — Jakie gorąco! — (obciera twarz). Mamy dużo chorych — żadnego jednak tak niebezpiecznie, jak ona. —

Imainuj sobie Pan, ten instytut kosztuje nas ze dwakroć sto tysięcy. — Patrz Pan, jaki widok na góry — ale Pan widzę, niecierpliwy — więc to nieprawda, że Jakóbiny jej męża porwali w nocy? — Proszę Pana. —



Pokój — kratowane okno — kilka krzeseł — łóżko — Żona na kanapie. —

Mąż. (wchodzi). Chcę być z nią sam na sam. —

Głos z za drzwi. Mój mąż by się gniewał, gdyby...

Mąż. Dajże mi W. Pani pokój! — (drzwi za sobą zamyka i idzie ku żonie).

Głos z nad sufitu. W łańcuchy spętaliście Boga. —

Jeden już umarł na krzyżu — Ja drugi Bóg, i równie wśród katów. —

Głos z pod podłogi. Na rusztowanie głowy królów i panów — odemnie poczyną się wolność ludu. —

Głos z za prawej ściany. Klękajcie przed królem, panem waszym! —

Głos z za lewej ściany. Kometa na niebie już błyska — dzień strasznego sądu się zbliża. —

Mąż. Czy mnie poznajesz. Marjo? —

Żona Przysięgam ci na wierność do grobu. —

Mąż. Chodź — daj mi ramię, wyjdziemy. —

Żona. Nie mogę się podnieść — dusza opuściła ciało moje, wstąpiła do głowy. —

Mąż. Pozwól, wyniosę ciebie. —

Żona. Dozwól chwil kilka jeszcze, a stanę się godną ciebie. —

Mąż. Jakto?

Żona. Modliłam się trzy nocy i Bóg mnie wysłuchał. —

Mąż. Nie rozumiem cię. —

Żona. Od kiedym cię straciła, zaszła odmiana we mnie — „Panie Boże“ mówiłam i biłam się w piersi, i gromnice przystawiałam do persi i pokutowałam, „puść na mnie ducha poezji“ i trzeciego dnia z rana stałam się poetą. —

Mąż. Marjo! —

Żona. Henryku, mną teraz już nie pogardzisz — jestem pełna natchnienia — wieczorami już mnie nie będziesz porzucał. —

Mąż. Nigdy, nigdy. —

Żona. Patrz na mnie. — Czy nie zrównałam się z tobą? — Wszystko pojmę, zrozumieć, wydam, wyśpiewam. — Morze, gwiazdy, burza, bitwa. — Tak, gwiazdy, burza, morze — ach! wymknęło mi się jeszcze coś — bitwa. — Musisz mnie zaprowadzić na bitwę — ujrzę i opiszę — trup, całun, krew, fala, rosa, trumna. —

Nieskończoność mnie obleje
I jak ptak, w nieskończoności
Błękit skrzydłami rozwieję
I lecąc, się rozemdleję
W czarnej nicości. —

Mąż. Przekleństwo — przekleństwo! —

Żona. (obejmuje go ramionami i całuje w usta). Henryku mój, Henryku, jakżem szczęśliwa! —

Głos z pod posadzki. Trzech królów własną ręką zabiłem — dziesięciu jest jeszcze — i księży stu śpiewających mszę. —

Głos z lewej strony. Słońce trzecią część blasku straciło — gwiazdy zaczynają potykać się po drogach swoich — niestety — niestety. —

Mąż. Dla mnie już nadszedł dzień sądu.

Żona. Rozjaśnij czoło, bo smucisz mnie na nowo, —
Czegoż ci nie dostaje? — Wiesz, powiem ci coś
jeszcze.

Mąż. Mów, a wszystkiego dopełnię.

Żona. Twój syn będzie poetą.

Mąż. Co?

Żona. Na chrzcie Ksiądz mu dał pierwsze imię —
poeta — a następne znasz, Jerzy Stanisław. —
Jam to sprawiła. — Ach, jakże cię kocham Henryku!
Głos z sufitu. Daruj im, Ojcze, bo nie wiedzą, co
czynią.

Żona. Tamten dziwne cierpi obłąkanie — nieprawda?

Mąż. Najdziwniejsze.

Żona. On nie wie, co gada, ale ja ci ogłaszę, coby
było, gdyby Bóg oszalał (bierze go za rękę). Wszystkie
światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy,
robak każdy krzyczy: „Ja Bogiem” — i co chwila
jeden po drugim konają — gasną komety i słońca. —
Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął
w ręce obie i rzucił w otchłań. — Czy słyszysz,
jak ten krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o
gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a
coraz niżej i niżej — aż tuman wielki powstał
z jego odłamków? — Najświętsza Bogarodzica je-
dna się jeszcze modli i gwiazdy, jej służebnice, nie
odbiegły Jej dotąd — ale i Ona pójdzie, kędy
idzie świat cały, —

Mąż. Marjo, może chcesz widzieć syna? —

Żona. Jam mu skrzydła przypięła postąla między
światy, by się napałił wszystkim, co piękne i strasz-
ne i wyniosłe. — On wróci kiedyś i uraduje ciebie. —
Ach!

Mąż. Żle tobie?

ona. W głowie mi ktoś lampę zawiesił i lampa się kołysze — niezdolnie.

Mąż. Marjo moja najdroższa, bądźże mi spokojna, jako dawniej byłaś!

Żona. Kto jest poetą, ten nie żyje długo.

Mąż. Hej! ratunku — pomocy! —

(Wpadają kobiety i żona doktora).

Żona doktora. Pigulek — proszków! — Nie — nic zsiadłego — owszem, płynne jakie lekarstwo. — Małgosiu bież do apteczki! — Pan sam temu przyczyną — mój mąż wyłaje. —

Żona. Żegnam cię, Henryku.

Żona doktora. To J. W. Hrabia sam w osobie swojej! —

Mąż. Marjo, Marjo! — (ściska ją).

Żona. Dobrze mi, bo umieram przy tobie. — (spuszcza głowę).

Żona doktora. Jaka czerwona — Krew rzuciła się do mózgu. —

Mąż. Ale jej nic nie będzie?

(Wchodzi doktor i zbliża się do kanapy).

Doktor. Już Jej niema — umarła. —

CZEŚĆ DRUGA.

Czemu, o dziecie, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijas na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? Królu much i motyli, przyjacielu poliszynela, czarcie maleńki, czemuś tak psdobny do aniołka? — Co znaczą twoje błękitne oczy, pochylone, choć żywe, pełne wspomnień, choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową? — Skąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronie twoje obarczone myślami?

*

A kiedy się zarumienisz, płoniesz jak stulistna róża i, pukle odwijając w tył, wzroczkiem sięgasz do nieba — powiedz, co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wtedy? — Bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici, płynące z niewidzialnego kłębka — bo w oczach twoich jaśniejze iskra, której nikt nie rozumie — a mamka twoja płacze i woła na ciebie i myśli, że jej nie kochasz — a znajomi i krewni wołają na ciebie i myślą, że ich nie poznajesz — twój ojciec jeden milczy i spogląda ponuro, aż łza mu się zakręci i znowu gdzieś przepadnie. —

*

Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia i ogłosił, że masz nerwy. — Ojciec chrzestny ciast ci przyniósł,

poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu. — Profesor przystąpił i macał głowę twoją i wyrzekł, że masz zdolność do nauk ścisłych. — Ubogi, któremuś dał grosz, przechodząc, do czapki, obiecał ci piękną żonę na ziemi i koronę w niebie. — Wojskowy przyskoczył, porwał i podrzucił i krzyknął: „Będziesz pułkownikiem“. — Cyganka długo czytała dłoni twoją prawą i lewą, nic wyczytać nie mogła; jęcząc odeszła, dukata wzięść nie chciała. — Magnetyzer palcami ci wionął w oczy, długimi palcami twarz ci okrażył — i przeląkł się, bo czuł, że sam zasypia. — Ksiądz gotował cię do pierwszej spowiedzi — i chciał ukląść przed tobą, jak przed obrazkiem. — Malarz nadszedł, kiedyś się gniewał i tupał nóżkami; nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wykłętymi duchami. —

*

Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy kto spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: „Jakie śliczne dziecię!“ — Gdyby kwiat co wędnie, miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym liście, chylącym się ku ziemi, anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobnym, o dziecię moje — może takie bywały przed upadkiem Adama. —

Ćmętarz — Mąż i Orcio przy grobie w gotyckie filary i wieżyczki.

Mąż. Zdejmij kapełusik i módl się za duszę matki. —

Orcio. Zdrowaś Panno Marjo, łaski Bożej pełna, Królowa niebios, Pani wszystkiego, co kwitnie na ziemi, na polach, nad strumieniami...

Mąż. Czego odmieniasz słowa modlitwy? — Módl się, jak cię nauczono, za matkę, która temu dziesięć lat właśnie o tej samej godzinie skoła. —

Orcio. Zdrowaś Panno Marjo, łaski Bożej pełna, Pan z tobą, błogostawionyś między Aniołami, i każdy z nich, kiedy przechodzisz, tęczę jedną z krzydeł swych wydziera i rzuca pod stopy Twoje. — Ty na nich, jak gdyby na falach...

Mąż. *Orcio.*!

Orcio. Kiedy mi te słowa się nawijają i bołą w głowie tak, że proszę Papy. muszę je powiedzieć. —

Mąż. Wstań, taka modlitwa nie idzie do Boga. — Matki nie pamiętasz — nie możesz jej kochać. —

Orcio. Widuję bardzo często Mamę, —

Mąż. Gdzie, mój maleńki?

Orcio. We śnie, to jest, nie zupełnie we śnie, ale tak, kiedy zasypiam, na przykład zawczoraj.

Mąż. Dziecko moje, co ty gadasz?

Orcio. Była bardzo biała i wychudła. —

Mąż. A mówiła co do ciebie?

Orcio. Zdawało mi się, że się przechadza po wielkiej i szerokiej ciemności, sama bardzo biała i mówiła :

Ja błąkam się wszędzie,
 Ja wszędzie się wdzieram,
 Gdzie światów krawędzie,
 Gdzie aniołów pienie,
 I dla ciebie zbieram
 Kształtów roje,
 O dziecię moje !
 Myśli i natchnienie.

I od duchów wyższych
 I od duchów niższych
 Farby i odcienie,
 Dźwięki i promienie
 Zbieram dla ciebie,
 Byś ty, o synku mój !
 Był, jako są w niebie,
 I ojciec twój
 Kochał ciebie —

Widzi Ojciec, że pamiętam słowo w słowo —
 proszę kochanego Papy, ja nie kłamię —
 Mąż. (opierając się o filar grobu). Marjo, czyż dziecię własne chcesz zgubić, minie dwoma zgonami obarczyć ?...
 Co ja mówię ? — Ona gdzieś w niebie, cicha i spokojna, jak za życia na ziemi — marzy się tylko temu biednemu chłopięciu.

Orcio. I teraz słyszę głos jej, lecz nic nie widzę. —

Mąż. Skąd — w której stronie ? —

Orcio. Jak gdyby od tych dwóch modrzewi, na które pada światło zachodzącego słońca. —

Ja napoję
 Usta twoje
 Dźwiękiem i potęgą ;
 Czoło przyozdobię

Jasności wstęga
I matki miłością

Obudzę w tobie

Wszystko co ludzie na ziemi, anieli w niebie

Nazwali pięknością —

By ojciec twój,

O synku mój!

Kochał ciebie. —

Mąż. Czyż myśli ostatnie przy zgonie towarzyszą duszy,
choć dostanie się do nieba — możesz być duch
szczęśliwym, świętym i obłąkanym zarazem? —

Orcio. Głos Mamy osłabieje, ginie już prawie za murem
kostnicy, ot tam — tam — jeszcze powtarza. —

O synku mój!

By ojciec twój

Kochał ciebie. —

Mąż. Boże, zmiłuj się nad dzieckiem naszym, którego
zda się, że w gniewie Twoim przeznaczyłeś szaleństwu
i zawcześniej śmierci. — Panie, nie wydzieraj rozumu
własnym stworzeniom, nie opuszczaj świątyń, któreś
Sam wybudował sobie — spojrzij na męki i aniołka
tego nie wydawaj piekłu., — Mnieś przynajmniej ob-
darzył siłą na wytrzymanie natłoku myśli namiętności
i uczuć, a jemu? — dałeś ciało, do pajęczyny podobne,
które lada myśl wielka rozerwie — o Panie Boże! —

Od lat dziesięciu dnia spokojnego nie miałem —
nasłałeś wielu ludzi na mnie, którzy mi szczęścia
wyszowali, zazdrościli — spuścili na mnie grad
boleści i znikomych obrazów i przecuciów i ma-
rzeń — łaska twoja na rozum spadła, nie na serce
moje — dozwól mi dziecię ukochać w pokoju i nie-

chaj stanie mir już między Stwórcą i stworzonym. — Synu, przeżegnaj się i chodź ze mną. — Wieczny odpoczynek. (Wychodzą).

*

Spacer — damy i kawalerowie. — Filozof. — Mąż.

Filozof. Powtarzam, iż to jest nieodbitą, samowolną wiarą we mnie, że czas nadchodzi wyzwolenia kobiet i murzynów. —

Mąż. Pan masz rację. —

Filozof. I wielkiej do tego odmiany w towarzystwie ludzkim w szczególności i w ogólności — z czego wywodzę odrodzenie się rodu ludzkiego przez krew i zniszczenie form starych. —

Mąż. Tak się panu wydaje?

Filozof. Podobnie jako glob nasz się prostuje lub pochyla na osi swojej przez nagłe rewolucje. —

Mąż. Czy widzisz to drzewo spróchniałe?

Filozof. Z młodem listkami na dolnych gałązkach. —

Mąż. Dobrze. — Jak sądzisz — wiele lat jeszcze stać może?

Filozof. Czy ja wiem? — Rok — dwa lata. —

Mąż. A jednak dzisiaj wypuściło z siebie kilka listków świeżych, choć korzenie gniją coraz bardziej. —

Filozof. Cóż z tego? —

Mąż. Nic — tylko, że gruchnie i pójdzie precz na węgle i popiół, bo nawet stolarzowi nie zda się na nic. —

Filozof. Przecie nie o tem mowa. —

Mąż. Jednak to obraz twój i wszystkich twoich i wieku twego i teorii twojej. (przechodzą).

*

Wąwóz pomiędzy górami.

Mąż. Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca

wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli; i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem. — Znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądy, żadnej wiary, miłości niema we mnie — jedno kilka przeczuć krąży w tej pustyni — o synu moim, że oślepnie — o towarzystwie, w którym wzrosłem, że rozprzęgnie się — i cierpię tak, jak Bóg jest szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie. —

Głos Anioła Stróża. Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich, a zbawion będziesz. —

Mąż. Kto się odzywa?

Mefisto. (przechodząc). Kłaniam uniżenie — lubię czasem zastanawiać podróżnych darem, który natura osadziła we mnie. — Jestem brzuchomowca. —

Mąż. (podnosząc rękę do kapelusza). Na kopersztychu podobną twarz gdzieś widziałem. —

Mefisto. (na stronie). Hrabia ma dobrą pamięć — (głośno) Niech będzie pochwalon. —

Mąż. Na wieki wieków — amen. —

Mefisto. (wchodząc pomiędzy skały). Ty i głupstwo twoje. —

Mąż. Biedne dziecię, dla win ojca, dla szafu matki przeznaczone wiecznej ślepocie — niedopełnione, bez namiętności, żyjące tylko marzeniem, cień przelatującego anioła rzucony o ziemię i błędzący w znikomości swojej. — Jakież ogromny orzeł wzbił się nad miejscem, w którym ten człowiek zniknął! —

Orzeł. Witam cię — witam. —

Mąż. Leci ku mnie, cały czarny — świat jego skrzydeł, jako świst tysiąca kul w boju.

Orzeł. Szablą ojców twoich bij się o ich cześć i potęgę.

Mąż. Roztoczył się nademną — wzrokiem węża grzechotnika, ssie mi żrzenice — ha! rozumiem ciebie. —

Orzeł. Nie ustępuj, nie ustąp nigdy — a wrogi twe, podłe wrogi twe pójdą w pył. —

Mąż. Żegnam cię wśród skał, pomiędzy któremi znikasz — bądź co bądź, fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zaguba, uwierzę tobie, posłanniku chwały. — Przeszłości, bądź mi ku pomocy — a jeśli duch twój wócił do łona Boga, niechaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą, siłą i czynem. — (zrzuca żmiję).

Idź, podły gadzie — jako straciłem ciebie i niema żalu po tobie w naturze, tak oni wszyscy stoczą się w dół i po nich żalu nie będzie — sławy nie zostanie — żadna chmura się nie odwróci w żegludze, by spojrzeć za sobą na tyłu synów ziemi, ginących pospołu. —

— Oni naprzód — ja potem. —

Błękicie niezmierzony, ty ziemię obwijasz — ziemia niemowlęciem, co zgrzyta i płacze — ale ty nie drżysz, nie słuchasz jej, ty płyniesz w nieskończoność swoją. —

Matko naturo, bądź mi zdrowa — idę się na człowieka przetrworzyć, walczyć idę z bracią moją. —

*

Pokój — Mąż — Lekarz — Orcio.

Mąż. Nic mu nie pomogli — w Panu ostania nadzieja. —

Lekarz. Mów panu co czujesz. —

Orcio. Już nie mogę ciebie, Ojczy, i tego pana rozpoznać — iskry i nicie czarne latają przed moimi oczyma, czasem z nich wydobędzie się nakszałt

elenuitkiego węża i już robi się chmura żółta — ta chmura w górę podleci, spadnie na dół, prysnie z niej tęcza — i to nic mnie nie boli. —

Lekarz. Stań, panie Jerzy, w cieniu — wiele pan lat masz? — (patrzy mu w oczy).

Mąż. Skończył czternaście. —

Lekarz. Teraz odwróć się do okna. —

Mąż. A cóż.

Lekarz. Powieki prześliczne, białka przeczyste, żyły wszystkie w porządku, mięśnie w sile: — (Do Orcia) Śmieć się Pan z tego — Pan będziesz zdrow, jak ja. — (do męża) Nie ma nadziei — sam pan Hrabia przypatrz się żrzenicy — nieczuła na światło — osłabienie zupełne nerwu optycznego. —

Orcio. Mgłą zachodzi mi wszystko — wszystko. —

Mąż. Prawda — rozwartą — szara — bez życia.

Orcio. Kiedy spuszcze powieki, więcej widzę, niż z otwartymi oczyma. —

Lekarz. Myśl w nim ciało przepsuła — należy się bać katalepsji. —

Mąż. (odprowadzając Lekarza na stronę). Wszystko, co zażadasz — pół mojego majątku.

Lekarz — Ojciec chrzestny.

Ojciec chrzestny. Zapewnie, to wielkie nieszczęście być :lepyim. —

Lekarz. I bardzo nadzwyczajne w tak młodym wieku. —

Ojciec chrzestny. Był zawsze słabej kompleksji, i matka jego umarła nieco tak...

Lekarz. Jakto?

Ojciec chrzestny. Poniekąd tak — Wać Pan rozumiesz? — bez piątej klepki. —

(Mąż wchodzi).

Mąż. Przepraszam pana, żem go prosił o tak późnej godzinie, ale od kilku dni mój biedny syn budzi się zawsze około dwunastej, wstaje i przez sen mówi — proszę za mną. —

Lekarz. — Chodźmy. Jestem bardzo ciekawy owego fenomenu. —

*

Pokój sypialny — Służąca — Krewni — Ojciec chrzestny — Lekarz — Mąż.

Krewny. Cicho. —

Drugi. Obudził się, a nas nie słyszy. —

Lekarz. Proszę panów nic nie mówić. —

Ojciec chrzestny. To rzecz arcydziwna. —

Orcio. (wstając). O Boże — Boże ! —

Krewny. Jak powoli stąpa ! —

Drugi. Jak trzyma ręce założone na piersiach ! —

Trzeci. Nie mrugnie powieką — ledwo że usta roztwiera, a przecię głos ostry, przeciągły, z nich się dobywa —

Służący. Jezusie Nazareński ! —

Orcio. Precz odemnie, ciemności — jam się urodził synem światła i pieśni. — Co chcecie odemnie ? — czego żądacie odemnie ?

Nie poddam się wam, choć wzrok mój uleciał z wiatrami i goni po przestrzeniach — ale on wróci kiedyś bogaty w promienie gwiazd, i oczy moje rozogni płomieniem. —

Ojciec chrzestny. Tak, jak nieboszczka, plecie, sam nie wie, to — to widok bardzo zastanawiający. —

Lekarz. Zgadzam się z Panem Dobrodziejem. —

Mamka. Najświętsza Panno Częstochowska, weź mi oczy i daj jemu. —

Orcio. Matko moja, proszę cię — matko moja, naszlij mi teraz obrazów i myśli, bym żył wewnątrz, bym stworzył drugi świat w sobie, równy temu, jaki postradałem. —

Krewny. Co myślisz, bracie, to wymaga rady familijnej? —

Drugi. Czekał — cicho. —

Orcio. Nie odpowiadasz mi — o matko! nie opuszczaj mnie!

Lekarz (do Męża). Obowiżkiem moim jest prawdę mówić. —

Ojciec ehrzestny. Tak jest — to jest obowiązkiem — i zaletą lekarzy — Panie Konsyljarzu. —

Lekarz. Pański syn ma pomieszanie zmysłów, połączone z nadzwyczajną drażliwością nerwów, co niekiedy sprawia, że tak powiem, stanu snu i jawu zarazem, stan podobny do tego, który oczywiście tu napotykamy. —

Mąż (na stronie). Boże, patrz, on Twoje sądy mi tłumaczy. —

Lekarz. Chciałbym pióra i kałamarza — Cerasi laurei dwa gramy etc. etc...

Mąż. W tamtym pokoju pan znajdziesz — proszę wszystkich, by wyszli. —

Głosy pomieszane. Dobra noc — dobra noc — do jutra — (wychodzą).

Orcio (budząc się). Dobrej nocy mi życzą — mówcie o długiej nocy — o wiecznej może — ale nie o dobrej, nie o szczęśliwej. —

Mąż. Wesprzyj się na mnie, odprowadzę cię do łóżka. —

Orcio. Ojczy, co to ma się znaczyć?

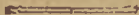
Mąż. Okryj się dobrze i zaśnij spokojnie, bo doktor mówi, że wzrok odzyskasz. —

Orcio. Tak mi niedobrze — sen mi przerwały głosy czyjeś — (zasypia).

Mąż. Niech moje błogosławieństwo spoczywa na tobie — nic ci więcej dać nie mogę, ni szczęścia, ni światła, ni sławy — a dobija godzina, w której będę musiał walczyć, działać z kilkoma ludźmi przeciwko wielu ludziom. — Gdzie się ty podziejesz, sam jeden i wśród stu przepaści, ślepy, bezsilny, dziecię i poeto zarazem, biedny śpiewaku bez słuchaczy, żyjący duszą za obrębami ziemi, a ciałem przykuty do ziemi — o ty nieszczęśliwy, najnieszczęśliwszy z aniołów, o ty mój synu? —

Mamka (u drzwi). Pan Konsyljarz każe J. W. Pana prosić. —

Mąż. Dobra moja Katarzyno, zostań się przy małym — (wychodzi).



CZEŚĆ TRZECIA.

Do pieśni — do pieśni!

Kto ją zacznie, kto jej dokończy? — Dajcie mi przeszłość, zbroję w stal, powiewną rycerskimi pióry. — Gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze — rzucę cię katedr świętych na głowy wam. — Ale to nie to — tego już nigdy nie będzie. —

*

Ktokolwiek jesteś, powiedz mi, w co wierzysz — łatwiejbyś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie. — Wstydźcie się, wstydźcie wszyscy, mały i wielcy — a mimo was, mimo żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą, pędzi przed się, bawi się z wami, przerzuca, odrzuca — walcem świat się toczy, pary znikają i powstają, wnet zapadają, bo ślizko — bo krwi dużo — krew wszędzie — krwi dużo, powiadam wam. —

*

Czy widzisz owe tłumy, stojące u bram miasta wśród wzgórzów i sadzonych topoli — namioty rozbite — zastawione deski, długie, okryte mięsiwem i napojami, podparte pniami, drągami? — Kubek lata z rąk do rąk — a gdzie ust się dotknie, tam głos się wydobędzie, groźba, przysięga lub przekleństwo. — On lata, zawraca, krąży, tańczy, zawsze pełny, brzęcząc, błyszcząc, wśród tysięcy. — Niechaj żyje kielich pijaństwa i pociechy!—

*

Czy widzicie, jak oni czekają niecierpliwie — szepczą między sobą, do wrzasków się gotują — wszyscy nędzni, ze znojem na czele, z rozczochranymi włosy, w łachmanach, z spiekłami twarzami, z dłońmi pomarszczonemi od trudu — ci tizymają kosy, owi potrzásają młotami, heblami — patrz — ten wysoki trzyma topór spuszczoney — a tamtem stępem żelaznym nad głową powija, dalej w bok pod wierzbą, chłopię małe wiśnie do ust kładzie, a długie szydło w prawe rece ściska. — Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne, jak oni, zwiedłe przed czasem, bez śladów piękności — na ich włosach kurzawa bitej drogi — na ich łonach poszarpane odzieże — w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku — ale wnet się ożywią — kubek lata wszędzie. — Niech żyje kielich pijaństwa i poczechy! —

Teraz szum wielki powstał w zgromadzeniu — czy to radość czy rozpacz? Kto rozpozna jakie uczucie w głosach tysięcy? — Ten, który nadszedł, wstąpił na stół, wskoczył na krzesło i panuje nad nimi, mówi do nich. — Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny — każde słowo rozeznasz, zrozumiesz — ruchy jego powolne, łatwe, wtórują słowom, jak muzyka pieśni — czoło wysokie, przestronne, włosy jednego na czaszce nie masz, wszystkie wypadły, stracone myślami — skóra przyschła do czaszki do liców, żółtawo się wcina pomiędzy kości i muszkuły, a od skroni

broda czarna wieńcem twarz opasuje — nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach — oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy — chwili jednej zwątpienia, pomieszaną nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wyteży ponad nimi, schylają głowy, zda się, że wnet uklekną przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca — precz z sercem, z przesadami, a niech żyje słowo pociechy i mordu! —

*

To ich wściekłość, ich kochanie, to władca ich dusz i zapału — on obiecuje im chleb i zarobek. — Krzyki się wzbily, rozciągnęły, pękły po wszystkich stronach — „Niech żyje Pankracy! — chleba nam, chleba, chleba!“ — A u stóp mówcy opiera się na stole przyjaciel, czy towarzysz, czy sługa. —

*

Oko wschodnie, czarne, cieniowane długimi rzęsy — ramiona obwisłe, nogi uginające się, ciało niedołężne w bok schylone — na ustach coś złośliwego, na palcach złote pierścienie — i on także głosem chrapliwym woła — „Niech żyje Pankracy!“ — Mówca ku niemu na chwilę wzrok obrócił. — „Obywatelu przechrzto, — podaj mi chustkę.“ —

*

Tymczasem trwają poklaski i wrzaski. — „Chleba nam, chleba, chleba! — Śmierć panom, śmierć kupcom — chleba, chleba.“ —

Szałas — lamp kilka — księga rozwarta na stole — przechrzty. —

Przechrzta. Bracia moi podli, bracia moi mściwi, bracia kochani, ssajmy karty Talmudu, jako pierś mleczną, pierś żywotną, z której siła i miód płynie dla nas, dla nich gorycz i trucizna.

Chór przechrztów. Jehowa pan nasz, a nikt inny. — On nas porozrzucał wszędzie, On nami, gdyby spłotami niezmiernej gadziny, oplół świat czcicielów Krzyża, panów naszych, dumnych, głupich, niepiśmionych. — Po trzykroć pluńmy na zgubę im — po trzykroć przekłństwo im.

Przechrzta. Cieszymy się, bracia moi. — Krzyż, wróg nasz, podcięty, zbutwiały, stoi dziś nad kałużą krwi, a jak raz się powali, nie powstanie więcej. — Dotąd pany go bronią.

Chór. Dopełnia się praca wieków, praca nasza marcotna, bolesna, zawzięta. — Śmierć panom! — Po trzykroć pluńmy na zgubę im — po trzykroć przekłństwo im!

Przechrzta. Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie osadzim Izraela — tylko tych panów kilku — tyrh kilku jeszcze zepchnąć w dół — trupy ich przysypać rozwalinami Krzyża. —

Chór. Krzyż znamię święte nasze — woda chrztu połączyła nas z ludźmi — uwierzyli pogardzający miłości pogardzonych. —

Wolność ludzi prawo nasze — dobro ludu cel nasz — uwierzyli synowie chrześcijan w synów Kai-fasza. —

Przed wiekami wroga umęczyli ojcowie nasi — my go na nowo dziś umęcym i nie zmartwychwstanie więcej. —

Przechrzta. Chwil kilka jeszcze, jadu żmii kropel kilka jeszcze — a świat nasz, nasz, o bracia moi! —

Chór. Jehowa Pan Izraela, a nikt inny. — Po trzykroć pluńmy na zgubę ludom — po trzykroć przekleństwo im! —

(Słychać stukanie).

Przechrzta. Do roboty waszej — a ty, święta księgo, precz stąd, by wzrok przeklętego nie zbrudził kart twoich — (Tałmud chowa).

Głos z za drzwi. Swój. — W imieniu wolności, otwieraj. —

Przechrzta. Bracie, do młotów i powrozów! — (otwiera).

Leonard. (wchodząc). Dobrze, obywatelu, że czuwacie i ostrzycie pugiwały na jutro. (do jednego z nich przystępuje).

A ty co robisz w tym kącie? —

Jeden z przechrztów. Stryczki, obywatelu. —

Leonard. Masz rozum, bracie, — kto od żelaza nie padnie w boju, ten na gałęzi skona. —

Przechrzta. Miły obywatelu Leonardzie, czy sprawa pewna na jutro? —

Leonard. Ten, który myśli i czuje najpotężniej z nas wszystkich, wzywa cię na rozmowę przezemnie. — On ci sam na to pytanie odpowie. —

Przechrzta. Idę — a wy nie ustawajcie w pracy — Jankielu, pilnuj ich dobrze. — (wychodzi z Leonr-a dem).

Chór przechrztów. Powrozy i sztylęty, kije i pałasze, rąk naszych dzieło, wyjdziecie na zaturę im — oni panów zabiją po błoniach — rozwieszą po ogrodach i borach — a my ich potem zabijem, powiesim, — w chwałę Jehowy się ustoją; słowo jego zbawienie. miłość jego dla nas zniszczeniem dla wszystkich, Pluńmy po trzykroć na zgubę im, po trzykroć przekleństwo im! —

*

Namiot — porozrzucane butelki, kielichy.

Pankracy. Pięćdziesięciu hulało tu przed chwilą i za każdym słowem mojem krzychało: „Wiwat“ — czy choć jeden zrozumiał myśli moje? — pojął koniec drogi, u początku której hałasuje?—*servile imitatorum pecus.* —

Wchodzi Leonard i Przechrzta.

Czy znasz hrabiego Henryka?

Przechrzta. Wielki obywatelu, z widzenia raczej, niż z rozmowy — raz tylko pamiętam, przechodząc na Boże Ciało, krzyknął mi: „Ustap się“ — i spojrzał na mnie wzrokiem pana — za co mu ślubowałem stryczek w duszy mojej. —

Pankracy. Jutro jak najraniej wybierzesz się do niego i oświadczysz, że chcę się z nim widzieć osobiście, potajemnie pojutrze w nocy.

Przechrzta. Wiele mi dasz ludzi? Bo nieostrożnie byłoby się puszczać samemu, —

Pankracy. Puścisz się sam, moje imię strażą twoją — szubienicą, na której powiesiliście Barona zawczoraj, plecami twemi —

Przechrzta. Aj waj!

Pankracy. Powiesz, że przyjdę do niego o dwunastej w nocy, pojutrze. —

Przechrzta. A jak mnie każe zamknąć lub obije? —

Pankracy. To będziesz męczennikiem za wolność ludu. —

Przechrzta. Wszystko, wszystko za wolność ludu! (na stronie). Aj waj! —

Lankracy. Dobra noc, obywatelu. —

(Przechrzta wychodzi).

Peonard. Na co ta odwłoka, te półśrodki, układy — rozmowy? — Kiedym przysiągł uwielbiać i słuchać ciebie, to, że cię miałem za bohatera ostateczności, za orła, lecącego wprost do celu, za człowieka, stawiającego siebie i swoich wszystkich na jedną kartę. —

Pankracy. Milcz, dziecko. —

Leonard. Wszyscy gotowi — przechrzty broń ukuli i powrozów nasnuli — tłumy krzyczą, wołają o rozkaz: daj rozkaz, a on pójdzie jak iskra, jak błyskawica, i w płomień się zamieni i przejdzie w grom.

Pankracy. Krew ci bije do głowy — to konieczność lat twoich, a z nią walczyć nie umiesz i to nazywasz zapalem. —

Leonard. Rozważ, co czynisz. Arystokracja w bezsilności swojej zawarła się w Św. Trójcy i czekają naszego przybycia jak noża gilotyny. — Naprzód Mistrzu, bez zwłoki naprzód, i po nich,

Pankracy. Wszystko jedno — oni stracili siły ciała w rozkoszach, siły rozumu w próżniactwie — jutro czy pojutrze legnąć muszą. —

Leonard. Kogoż się boisz — któż cię wstrzymuje?

Pankracy. Nikt — jedno wola moja. —

Leonard. I na ślepo mam jej wierzyć?

Pankracy. Zaprawdę ci powiadam — na ślepo. —

Leonard. Ty nas zdradzasz. —

Pankracy. Jak zwrotka u pieśni, tak zdrada u końca każdej mowy twojej — nie krzycz, bo gdyby nas kto podsłuchał...

Leonard. Tu szpiegów nie ma, a potem cóż?...

Pankracy. Nic — Tylko pięć kul w twoich piersiach za to, żeś śmiał głos podnieść o ton jeden wyżej w mojej przytomności. — (przystępuje do niego). Wierz mi — daj sobie pokój. —

Leonard. Uniosłem się, przyznaję — ale nie boję się kary. — Jeśli śmierć moja za przykład służyć może, sprawie hartu i powagi dodać rozkaż. —

Pankracy. Jesteś żywy, pełny nadziei i wierzysz — najszcześliwszy z ludzi, nie chcę pozbawiać cię życia. —

Leonard. Co mówisz?

Pankracy. Myśl więcej, gadaj mniej, a kiedyś mnie zrozumiesz. — Czy posłałeś do magazynu po dwa tysiące ładunków?

Leonard. Posłałem Dejca z oddziałem. —

Pankracy. A składka szewców oddana do kasy naszej?

Leonard. Z najszczerzym zapalem się złożyli co do jednego i przynieśli sto tysięcy.

Pankracy. Jutro zaproszę ich na wieczerzę. — Czy słyszałeś co nowego o Hrabim Henryku?

Leonard. Pogardzam zanadto panami, bym wierzył temu, co o nim mówią — upadające rasy energii nie mają — mieć nie powinny, nie mogą —

Pankracy. On jednak zbiera swoich włości i zaufany w ich przywiązaniu, gotuje się na odsiecz zamkowi Świętej Trójcy. —

Leonard. Kto nam zdoła się oprzeć — przecię w nas wcieliła się idea wieku naszego. —

Pankracy. Ja chcę go widzieć — spojrzeć mu w oczy — przeniknąć do głębi serca — przeciągnąć na naszą stronę. —

Leonard. Zabity arystokrata. —

Pankracy. Ale poeta zarazem. — Teraz zostaw mnie samym. —

Leonard. Przebaczysz mi, obywatelu ? —

Pankracy. Zaśnij spokojnie — gdybym ci nie przebaczył, jużbyś zasnął na wieki. —

Leonard. Jutro nic nie będzie ? —

Pankracy. Dobrej nocy i miłego marzenia. —

(Leonard wychodzi).

Hej, Leonardzie ! —

Leonard. (wracając). Obywatelu wodzu. —

Pankracy. Pojutrze w nocy pójdziesz ze mną do hrabiego Henryka. —

Leonard. Słyszałem — (wychodzi).

Pankracy. Dlaczegoż mnie, wodzowi tysięcy, ten jeden człowiek na zawadzie stoi ? — Siły jego w porównaniu z moimi — kilkaset chłopów, ślepo wierzących jego słowu, przywiązanych miłością swojskich zwierząt... To nędza, to zero. — Czemuż tak pragnę go widzieć, omamić ? — Czy duch mój napotkał równego sobie i na chwilę się zatrzymał ? — Ostatnia

to zapora dla mnie na tych równinach — trza ją obalić, a potem... Myśli moja, czyż nie zdołasz ludzi siebie, jako drugich ludzisz — wstydz się, przecie ty znasz swój cel, ty jesteś myślą — panią ludu — w tobie zesła się wola i potęga wszystkich — i co zbrodnia dla innych, to chwałą dla ciebie. — Ludziom podłym, nieznanym, nadałaś imiona — ludziom bez czucia wiarę nadałaś — świat nowy utworzyłaś naokoło siebie — a sama błądasz się i nie wiesz czem jesteś — Nie, nie, nie — ty jesteś wielką: (pada na krzesło i duma).

*

Bór — porozwieszane płótna na drzewach — w środku łąka, na której stoi szubienica — szałas, namioty — ogniska — beczki — tłumy ludzi.

Mąż. (przebrany, w czarnym płaszczu z czapką czerwoną wolności na głowie, wchodzi, trzymając Przechrztę za ramię).

Pamiętaj!

Przechrzta (po cichu). JW. Panie, oprowadzę cię — nie wydam cię, na honor. —

Mąż. Mrugnij okiem, palec podnieś, a w łeb ci strzelę — możesz się domyśleć, że nie dbam o życie twoje, kiedyś własne na to odważył. —

Przechrzta. Aj waj! — żelaznemi kleszczami dłoń mi ściskasz — cóż mam robić?

Mąż. Mów ze mną, jak ze znajomym, z przyjacielem nowo przybyłym. — Cóż to za taniec?—

Przechrzta. Taniec wolnych ludzi.

(Tańczą mężczyźni i kobiety wokół szubienicy i śpiewają).

Chór. Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie! — Hura — Hura!

Bóg nad nami nie miał litości — Hura — Hura! —

Królowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura! —

Panowie nad nami nie mieli litości — Hura! —

My dziś Bogu, królom i panom za służbę po-
dziękujem — Hura! —

Mąż (do dziewczyny). Cieszy mnie, żeś tak rumiana
i wesoła.

Dziewczyna. A dyć tośmy długo na taki dzień czekały.

— Juści ja myłam talerze, widelce szurowała ścierką,
dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyć czas, czas,
bym jadła sama — tańcowała sama — Hura! —

Mąż. Tańcuj, obywatelko.

Przechrzta. (cicho). Zmiłuj się, JW. Panie — ktoś może
cię poznać — wychodźmy. —

Mąż. Jeśli ktoś mnie pozna, toś zginał — idźmy dalej. —

Przechrzta. Pod tym dębem siedzi klub lokajów. —

Mąż. Przybliżmy się. —

Pierwszy lokaj. Jużem ubił mojego dawnego pana. —

Drugi lokaj. Ja szukam dotąd mojego barona — zdrowie
twoje! —

Kamerdyner. Obywatele, schyleni nad prawidłem w pocie
i poniżeniu, glancując buty, strzyżąc włosy, poczu-
liśmy prawa nasze — zdrowie klubu całego! —

Chór lokai. Zdrowie prezesa — on nas powiedzie drogą
honoru.

Kamerdyner. Dziękują obywatele. —

Chór lokai. Z przedpokojów, więzień naszych, razem,
zgodnie, jednym wypadliśmy rzutem — Wiwat! —

Salonów znamy śmieszności i wszeteczeństwa —
 Wiwat! — Wiwat!

Mąż. Cóż to za głosy, twardsze i dziksze, wychodzące
 z tej gęstwiny na lewo? —

Przechrzta. To chór rzeźników, JW. Panie.

Chór rzeźników. Obuch i nóż, to broń nasza — szlach-
 tuz, to życie nasze. — Nam jedno: czy bydło, czy
 panów rżnąć.

Dzieci siły i krwi, obojętnie patrzym na drugich
 słabszych i bielszych — kto nas powoła, ten nas mi
 — dla panów woły, dla ludu panów bić będziem. —

Obuch i nóż broń nasza — szlachtuz życie nasze
 — szlachtuz — szlachtuz — szlachtuz. —

Mąż. Tych lubię — przynajmniej nie wspominają ani
 o honorze, ani o filozofji. — Dobry wieczór Pani. —

Przechrzta (cicho). JW. Panie, mów „obywatelko“ —
 lub „wolna kobieto“.

Kobieta. Cóż znaczy ten tytuł, skąd się wyrwał? —
 Fe — fe — cuchniesz starzyzną.

Mąż. Język mi się zaplątał. —

Kobieta. Jestem swobodną, jako ty, niewiastą wolną,
 a towarzystwu za to, że mi prawa przyznało, rozdaje
 miłość moją. —

Mąż. Towarzystwo znów za to ci dało te pierścienie
 i ten łańcuch ametystowy. — Oh! podwójnie dobro-
 czynne towarzystwo! —

Kobieta. Nie, te drobnostki zdarłam przed wyzwoleniem
 mojem — z męża mego, wroga mego, wroga wol-
 ności, który mnie trzymał na uwięzi. —

Mąż. Życzę obywatelce milej przechadzki — (przechodzi).

Któż jest ten dziwny żołnierz — oparty na szabli obosiecznej, z główką trupa na czapce, z drugą na felcechu, z trzecią na piersiach? — Czy to nie sławny Bianchetti, taki dziś kondotjer ludów, jako dawniej bywali kondotjery książąt i rządów? —

Przechrzta. On sam, J. W. Panie — dopiero od tygodnia do nas przebyły —

Mąż. Nad czem tak zamyślił się General? —

Bianchetti. Widzicie obywatele, ową lukę między jaworami? — Patrzcie dobrze — dojrzycie tam na górze zamek — doskonale widzę przez moją lunetę mury, okopy i cztery bastjony. —

Mąż. Trudno go opanować. —

Bianchetti. Tysiąc tysięcy królów! — można obejść jarem, podkopać się i...

Przechrzta (mrugając). Obywatelu Generale. —

Mąż (po cichu). Czujesz ten kurek odwiedziony pod moim pałaszem? —

Przechrzta (na stronie). Aj waj! — (głośno). Jakżeś więc to ułożył, obywatelu Generale? —

Bianchetti (zadumany). Chociażeście moi bracia w wolności, nie jesteście moimi braćmi w genjuszu — po zwyczajwie dowie się każdy o moich planach — (odchodzi).

Mąż (do Przechrzty). Radzę wam, go zabijcie, bo tak się poczyną każda arystokracja! —

Rzemieśnik. Przekleństwo — przekleństwo. —

Mąż. Cóż robisz pod tem drzewem, biedny człowiecze — czemu patrzysz tak dziko i mgławo?

Rzemieślnik. Przekleństwo kupcom, dyrektorom fabryk — najlepsze lata, w których inni ludzie kochają dziewczyny, biją się na otwartym polu, żeglują po otwartych morzach, ja przesłęczyłem w ciasnej komorze, nad warsztatem jedwabiu.

Mąż. Wychylże czarę, którą trzymasz w dłoni. —

Rzemieślnik. Sił nie mam — podnieść do ust nie mogę — ledwo się tutaj przyczołgałem, ale dla mnie już nie zaświta dzień wolności. — Przekleństwo kupcom, co jedwab sprzedają i panom, bo noszą jedwabie — przekleństwo — przekleństwo! — (umiera).

Przechrzta. Jaki brzydki trup! —

Mąż. Tchorzu wolności, obywatelu przechrzto, patrz na głowę bez życia pływającą w pokrwawie zachodzącego słońca. —

Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy, wasze obietnice — równość — doskonałość i szczęście rodu ludzkiego? —

Przechrzta. (na stronie). Bodajbyś także zawczasie zdechł i ciało twoje psy rozerwały na sztuki! — (głośno). Piszczaj mnie — muszą zdać sprawę z mojego poselstwa. —

Mąż. Powiesz, że cię miał za szpiega i dlatego zatrzymał — (obziera się naokoło). Odgłosy biesiady głuchną z tyłu — przed nami już same tylko sosny i świerki, oblane promieniami wieczoru. —

Przechrzta. Nad drzewami skupiają się chmury — lepiejbyś wrócił do swoich ludzi, którzy i tak już oddawna czekają na ciebie w jarze Św. Ignacego. —

Mąż. Dzięki ci za troskliwość, mości Żydzie — nazad!

— Chcę obywateli raz jeszcze w zmierzchu obejrzeć. —

Głos pomiędzy drzewami. Syn chamów dobranoc zasyła staremu słońku. —

Głos z prawej. Zdrowie twoje, dawny wrogu nasz, coś nas pędził do pracy i znoju — jutro, wschodząc, zastaniesz twoich niewolników przy mięsiwie i koniach — a teraz, szklanko, idź do czarta! —

Przechrzta. Orszak chłopów tu ciągnie. —

Mąż. Nie wyrwiesz się — stój za tym pnem i milcz. —

Chór chłopów. Naprzód, naprzód! pod namioty, do braci naszych — naprzód, naprzód pod cień jaworów, na sen, na miłą wieczorną gawędkę — tam dziewczki nas czekają — tam woły pobite, dawne pługów zaprzęgi, czekają nas. —

Głos jeden. Ciągnę go i wlokę, zżyma się i opiera — idź w rekruty — idź! —

Głos pana. Dzieci moje, litości, litości! —

Głos drugi. Wróc mi wszystkie dni pańszczyzny. —

Głos trzeci. Wskrześ mi syna, Panie, z pod batogów kozackich. —

Głos czwarty. Chamy piją zdrowie twoje, Panie — przepraszają cię, Panie.

Chór chłopów (przechodząc). Upiór ssał krew i poty nasze — mamy upiora — nie puścim upiora — przez biesa, przez biesa, ty zginiesz/ wysoko, jako pan, jako wielki pan, wzniesion nad nami wszystkimi, — panom tyranom śmierć — nam biednym, nam głodnym, nam strudzonym jeść, spać i pić. — Jako

snopy na polu, tak ich trupy będą — jako plewy w młockarniach, tak perzyny ich ziomków — przez kosy nasze, siekiery i cepy, bracia, naprzód! —

Mąż. Nie mogłem twarzy dojrzeć wśród zastępów. —

Przechrzta. Może jaki przyjaciel lub krewny JWgo. —

Mąż. Nim pogardzam, a was nienawidzę — poezja to wszystko ozłoci kiedyś, dalej, Żydzie — dalej! — (zapuszcza się w krzaki).

*

Inna część boru — wzgórze z rozpalonemi ogniami — zgromadzenie ludzi przy pochodniach. —

Mąż (na dole, wysuwając się z za drzew z Przechrzta).

Gałęzie podarły na łachmany moją czapkę wolności.

— A to co za piekła z rudawych płomieni, wznoszące się wśród tych dwóch ścian lasu, tych dwóch nawałów ciemności?

Przechrzta. Zabłądziliśmy, szukając wąwozu św. Ignacego — nazad w krzaki, bo tu Leonard odprawia obrzędy nowej wiary.

Mąż (wstępując). Przez Boga, naprzód! — tegom żądał właśnie, nie lękaj się, nikt nas nie pozna. —

Przechrzta. Ostrożnie — powoli! —

Mąż. Wszędzie rozwaliny jakiegoś ogromu, który musiał wieki przetrwać, nim runął — filary, podnoża, kapietele — ćwiertowane posągi, rozrzucone floresy, któremi oplatało starodawne sklepienia — teraz mi pod stopą zamignęła stłuczona szyba — zda się, że twarz Bogarodzicy na chwilę wyjrzała z cienia — i znów tam ciemno — tu, patrz, cała arkada leży — tu krata żelazna, zasypana gruzem — z góry lunął błysk po-

chodni — widzę pół rycerza śpiącego na połowie grobu — gdzież jestem przewodniku? —

Przechrzta. Nasi ludzie krwawo pracowali przez czterdzieści dni i nocy, aż wreszcie zburzyli ostatni kościół na tych równinach. — Teraz właśnie cmentarz mijamy. —

Mąż. Wasze pieśni, ludzie nowi gorzko brzmią w moich uszach — czarne postacie z tyłu, przodu, po bokach się cisną, a pędzone wiatrem blaski i cienie przechadzają się po tłumie, jak żyjące duchy. —

Przechodzący. W imieniu wolności pozdrawiam was obu. —

Drugi. Przez śmierć panów witam was obu. —

Trzeci. Czego się nie śpieszycie? Tam śpiewają kapłani wolności. —

Przechrzta. Niepodobna się oprzeć — zewsząd nas pchają. —

Mąż. Któż jest ten młody człowiek, na gruzach przybytku stojący? — Trzy ogniska palą się pod nim, wśród dymu i łuny, twarz jego płonie, głos jego brzmi szaleństwem. —

Przechrzta. To Leonard, prorok natchnięty wolności — naokoło stoją nasze kapłany, filozofy, poeci, artyści, córki ich i kochanki. —

Mąż. Ha! wasza arystokracja — pokaż mi, tego który cię posłał.

Przechrzta. Nie widzę go tutaj. —

Leonard. Dajcie mi ją do ust, do piersi, w objęcia, dajcie piękną moją, niepodległą, wyzwoloną, obnażoną z zasłon i przesądów, wybraną z pośród córek wolności, oblubienicę moją. —

Głos dziewicy. Wyrywam się do ciebie — upadłam z niemocy — tarzam się po zgłiszczach kochanku mój. —

Trzeci głos. Wyprzedziłam je — przez popiół i żar, ogień i dym, stąkam ku tobie, kochanku mój. —

Mąż. Z rozpuszczonym włosom, z dyszącą piersią wdziera się na gruzy namiętne podrzuty. —

Przechrzta. Tak co noc bywa. —

Leonard. Do mnie, do mnie o rozkoszo moja — cóż wolności. — Ty drżysz w boskim szale? — Natchnienie, ogarnij mą duszę — słuchajcie wszyscy — teraz wam prorokować będę. —

Mąż. Głowę pochyliła, mdleje. —

Leonard. My oboje obrazem rodu ludzkiego, wyzwolonego, zmartwychwstającego — patrzcie — stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga. — Chwała nam, bośmy członki Jego rozerwali, teraz proch i pył z nich — a duch Jego zwyciężyli naszymi duchami — duch zstąpił do nicości. —

Chór niewiast. Szczęśliwa, szczęśliwa oblubienica Proroka — my tu na dole stoimy i zazdrościm jej chwały. —

Leonard. Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebiosy. — Panie swobody i rozkoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemiezcy twoim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi utoną stare łzy i cierpienie rodu ludzkiego — życiem jego odtąd szczęście — prawem jego równość — a kto inne tworzy, temu stryczek i przekleństwo. —

Chór mężów. Rozpadła się budowa ucisku i dumy, kto z niej choć kamyczek podniesie, temu śmierć i przekleństwo. —

Przechrzta. (na stronie), Błaznierce Jehowy, po trzykroć pluję na zgubę wam. —

Mąż. Orle, dotrzymaj obietnicy, a ja tu na ich karkach nowy kościół Chrystusowi postawię. —

Pomieszane głosy. Wolność — szczęście — hura! — hejże! — rykacha! — hurracha! — hurracha! —

Chór kapłanów. Gdzie pany, gdzie króle, co niedawno przechadzali się po ziemi w berłach i koronach, w dumie i gniewie? —

Zabójca. Ja zabiłem króla Aleksandra. —

Drugi. Ja króla Henryka. —

Trzeci. Ja króla Emanuela. —

Leonard. Idźcie bez trwogi i mordujcie bez wyrzutów — boście wybrani z wybranych, święci wśród najświętszych — boście męczennikami — bohaterami wolności.

Chór zabójców. Pójdziemy nocą ciemną, sztylety, ściskając w dłoniach, pójdziemy, pójdziemy. —

Leonard. Obudź się, urodziwa moja! —

(grzmot słychać).

Nuż, odpowiedźcie żyjącemu Bogu — wzniescie pieśni wasze — chodźcie za mną wszyscy, wszyscy, jeszcze raz obejdzem i zdepcem świątynie umarłego Boga. —

A ty podnieś głowę — powstań i obudź się! —

Dziewica. Pałam miłością ku tobie i Bogu twemu, światu całemu miłość rozdaję moją — płonę — płonę. —

Mąż. Ktoś mu zabiegł — padł na kolana — mocuje się sam z sobą, coś bełkoce, coś jęczy. —

Przechrzt. Widzę, widzę, to syn sławnego filozofa. —

Leonard. Czego żądasz, Hermanie? —

Herman. Arcykapłanie, daj mi święcenie zbójeckie. —
Leonard (do kapłanów). Podajcie mi olej, sztylet i truciznę — (do Hermana). Olejem, którym dawniej namaszczano królów, na zgubę królom namaszczałem cię dzisiaj — broń dawnych rycerzy i panów na zatrącenie panów kładę w ręce twoje — na twoich piersiach zawieszam medalion, pełny trucizny — tam, gdzie twoje żelazo nie dojdzie, niech ona zre i pali wnętrzności tyranów. Idź i niszczone pokolenia po wszech stronach świata. —

Mąż. Ruszył z miejsca i na czele orszaku ciągnie po wzgórzu. —

Przechrzta. Usunęmy się z drogi.

Mąż. Nie — chcę tego snu dokończyć. —

Przechrzta. Po trzykroć pluję na ciebie — (do Męża). Leonard może mnie poznać, JW. Panie — patrz, jaki nóż wisi na jego piersiach. —

Mąż. Zakryj się płaszczem moim. — Co to za niewiasty przed nim tańczą? —

Przechrzta. Hrabiny i księżniczki, które porzuciwszy mężów, przeszły na wiarę naszą. —

Mąż. Niegdyś anioły moje. — Pospółstwo go zewsząd oblało — zginął mi w natłoku — jedno po muzyce poznaje, że się od nas oddala. — Chodź za mną — stamtąd lepiej nam patrzeć będzie — (wdziera się na odłamek muru).

Przechrzta. Aj waj, aj waj! Każdy nas tu spostrzeże. —

Mąż. Widzę go znowu — drugie niewiasty cisną się za nim, blade, obłąkane, w konwulsjach. — Syn filozofa pieni się i potrząsa sztyletem. — Dochodzą teraz do ruin wieży północnej.

Stanęli — płasają na gruzach — rozrywając nie-
obalone arkady — sypią iskrami na leżące ołtarze
i krzyże — płomień się zajmuje i gna słupy dymu
przed sobą — biada wam — biada! —

Leonard. Biada ludziom, którzy dotąd się klaniają
umarłemu Bogu. —

Mąż. Czarne bałwany nawracają się i ku nam pędzą: —
Przechrzta. O Abrahamie! —

Mąż. Oile, wszak moja godzina nie tak bliska jeszcze? —

Przechrzta. Już po nas. —

Leonard (przechodząc, zatrzymuje się). Coś ty za jeden,
bracie, z taką dumną twarzą — czemu nie łączysz
się z nami? —

Mąż. Śpieszę z daleka na odgłos waszego powstania. —
Jestem morderca klubu Hiszpańskiego i dopiero dziś
przybyłem. —

Leonard. A ten drugi po co się w zwojach płaszcza
twego kryje? —

Mąż. To mój brat młodszy — ślubował, że twarzy
ludziom nie ukaze, nim zabije przynajmniej barona. —

Leonard. Ty sam czyją śmiercią się chlubisz?

Mąż. Na dwa dni tylko przed wybraniem się w drogę
dali mi święcenie. —

Leonard. Kogóż masz na myśli? —

Mąż. Ciebie pierwszego, jeśli się nam sprzeniewierzysz. —

Leonard. Bracie, na ten użytek weź sztylet mój. —
(wyciąga sztylet z za pasa).

Mąż (dobywa swojego sztyletu). Bracie, na ten użytek
i mojego wystarczy.

Głosy ludźl. Niech żyje Leonard! — niech żyje morderca Hiszpański!

Leonard. Jutro staw się u namiotu obywatela wodza. —

Chór kapłanów. Pozdrawiamy cię, gościu, imieniem ducha wolności — w rękę twoję część naszego zbawienia. — Kto walczy bez ustanku, morduje bez słabości, kto dniem i nocą wierzy zwycięstwu, ten zwycięży wreszcie — (przechodzą).

Chór filozofów. My ród ludzki dźwignęli za dzieciństwa.

— My prawdę z łona ciemności wyrwali na jaśnią.

— Ty za nią walcz, morduj i giń! — (przechodzą).

Syn filozofa. Towarzyszu bracie, czaszką starego świętego piję zdrowie twoje — do widzenia. — (rzuca czaszkę).

Dziewczyna (tańcząc). Zabij dla mnie księcia! Jana. —

Druga. Dla mnie hrabiego Henryka. —

Dzieci. Prosimy cię ślicznie o głowę arystokraty. —

Inni. Szczęść się twojemu sztyletowi! —

Chór artystów. Na ruinach gotyckich świątynię zbuduję tu nową — obrazów w niej ni posągów niema — sklepienia w długie pugiwały, filary w osiem głów ludzkich, a szczyt każdego filara jako włosy, z których się krew sączy — ołtarz jeden biały — znak jeden na nim — czapka wolności — Hurrachal! —

Inni. Dalej, dalej, już brzask świta. —

Przechrzta. Rychło nas powieszą — gdzie szubienica —

Mąż. Cicho, Żydzie — lecą za Leonardem, nie patrząc już na nas. — Ogarniam wzrokiem, raz ostatni podchwytuję myślą ten chaos, dobywający się z toni

czasu, z łona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich — gnane szaleń, porwane rozpacz, myśli moje w całej sile swej kołują. —

Boże, daj mi potęgę, której nie odmawiałeś mi niegdyś — a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny — on siebie sam nie pojmuje. — Lecz to słowo moje będzie poezją całej przyszłości. —

Głos w powietrzu. Dramat układasz. —

Mąż. Dzięki za radę. — Zemsta za zhańbione popioły ojców moich — przeklęstwo nowym pokoleniom — ich wir mnie otacza — ale nie porwie za sobą. — Orle, orle dotrzymaj obietnicy! — A teraz na dół ze mną i do jaru Św. Ignacego. —

Przechrzta. Już dzień bliski — nie pójde dalej. —

Mąż. Drogę mi znajdź, puszcę cię potem. —

Przechrzta. Wśród mgły i zwalisk, cierni i popiołów gdzie mnie wleczysz? — Daruj mi, daruj. —

Mąż. Naprzód, naprzód i na dół ze mną! — Ostatnie pieśni ludu konają za nami — ledwo gdzie jeszcze tli się pochodnia — pośród tych wyziewów bladych, tych zroszonych drzew czy widzisz cienie przeszłości, — czy słyszysz te żałobne głosy? —

Przechrzta. Mgła wszystko zalewa — coraz bardziej zlatujemy w dół. —

Chór duchów z lasu. Płaczmy za Chrystusem, za Chrystusem wygnanym, umęczonym — gdzie Bóg nasz, gdzie kościół Jego? —

Mąż. Prędzej, prędzej do miecza do bolu! — Ja Go wam oddam — na tysiącach krzyżów rozkrzyżuję nieprzyjaciół Jego.

Chór duchów. Strześliśmy ołtarzy i przyjaciół Jego. pomników świętych—odgłos dzwonów na skrzydłach nosiliśmy wiernym—w dźwiękach organów były głosy nasze — w połyskach szyb katedry, w cieniach jej filarów, w blaskach pucharu świętego, w błogosławieństwie ciała Pańskiego było życie nasze. Teraz gdzie się podziemy? —

Mąż. Rozwidnia się coraz bardziej — ich postacie mdleją w promieniach zorzy. —

Przechrzta. Tędy droga twoja, tam jaru początek. —

Mąż. Hej! Jezus i szabla moja! —

(Zrzucając czapkę i zawijając w niej pieniądze.)

Weź na pamiątkę rzecz i godło zarazem. —

Przechrzta. Wszak zaręczyłeś mi słowem JW. Panie, bezpieczeństwo tego, który dziś o północy...

Mąż. Stary szlachcic dwa razy nie powtarza słowa — Jezus i szabla moja! —

Głosy w krzakach. Marja i szabla nasza — niech pan nasz żyje! —

Mąż. Wiara do mnie — bądź zdrow, obywatelu! —
Wiara! do mnie — Jezus i Marja! —

Noc — krzaki — drzewa.

Pankracy (do swoich ludzi). Położyć się twarzą do mu rawy — leżeć w milczeniu — ognia mi nie krzesać, nawet do fajki—a za pierwszym strzałem skoczyć mi na pomoc. — Jeśli strzału nie będzie, nie ruszać się do dnia białego. —

Leonard. Obywatelu, raz się jeszcze zaklinam,

Pankracy. Ty przylep się do tej sosny i dumaj. —

Leonard. Mnie jednego przynajmniej weź z sobą —

to pan, to arystokrata, to kłamca. —

Pankracy. (wskazuje mu ręką, by został). Stara szlachta słowa dotrzymuje czasem. —

*

Komnata podłużna — obrazy dam i rycerzy porozwieszane po ścianach — w głębi filar z tarczą herbowną — Mąż siedzi przy stole marmurowym, na którym lampa, para pistoletów, pałasz i zegar — naprzeciwko drugi stolik, srebrne konwie i pułhary.

Mąż. Niegdyś o tej samej porze wśród grożących niebezpieczeństw i podobnych myśli Brutusowi ukazał się genjusz Cezara. —

I tu dziś czekam na podobne widzenie. — Za chwilę stanie przedemną człowiek bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża — co wydobył się z nicości i zacznie może nową epokę, jeśli go w tył nie odrzucę nazad, nie strącę do nicości. —

Ojcowie moi, natchnijcie mnie tem, co was panami świata uczyniło — wszystkie lwie serca wasze dajcie mi do piersi — powaga skroni waszych niechaj się zleje na czoło moje. — Wiara w Chrystusa i Kościół Jego, ślepa, nieubłagana, wrząca, natchnienie dzieł waszych na ziemi, nadzieja chwały nieśmiertelnej w niebie, niechaj zstąpi na mnie, a wrogów będę mordował i palił, ja, syn stu pokoleń, ostatni dziedzic waszych myśli i dzielności, waszych cnót i błędów. —

(Bije dwunasta).

Teraz gotów jestem — (wstaje).

Sługa zbrojny. (wchodząc). J.W. Panie, człowiek, który miał się stawić, przybył i czeka. —

Mąż. Niech wejdzie. —

(Sługa wychodzi).

Pankracy. (wchodząc). Witam hrabiego Henryka. — To słowo „hrabia“ dziwnie brzmi w gardle mojem — (Siada — zrzuca płaszcz i czapkę wolności i wlepią oczy w kolumnę, na której herb wisi).

Mąż. Dzięki ci żeś zaufał domowi mojemu — starym zwyczajem piję zdrowie twoje — (bierze puchar, pije i podaje Pankracemu).

Gościu, w ręce twoje ! —

Pankracy. Jeśli się nie mylę, te godła czerwone i błękitne zowią się herbem w języku umarłych. — Coraz mniej takich znaczków na powiechrzni ziemi (pije).

Mąż. Za pomocą Bożą wkrótce tysiące ich ujrzysz. —

Pankracy (puhar od ust odejmując). Otóż mi stara szlachta — zawsze pewna swego — dumna, uporczywa, kwitnąca nadzieją, jak umarły w bajce powoźnikowi u furtki cmentarza — wierząca lub udająca, że wierzy w Boga — bo w siebie trudno wierzyć. Ale pokażcie mi pioruny, na waszą obronę zesłane i pułki aniołów, spuszczone z niebios — (pije).

Mąż. Śmieję się z własnych słów. — Ateizm to stara formuła — a spodziewam się czegoś nowego po tobie. —

Pankracy. Śmieję się z własnych słów. — Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej — jęk, przez rozpacz i boleść wydarty tysiącom tysięcy — głód rzemieślników — nędza włościan — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości, ujarzmionej przesądem i wahaniem się i bydlęcem przyzwyczajeniem — oto wiara moja — a Bóg mój na dzisiaj —

to myśl moja — która chleb i cześć im rozda na wieki. — (pije i rzuca kubek).

Mąż. Ja położyłem siłę moją w Bogu, który ojcom moim panowanie nadał.

Pankracy. A całe życie byłeś diabła igrzyskiem. —

Zresztą zostawiam tę rozprawę teologom, jeśli jakiś pedant tego rzemiosła żyje dotąd w całej okolicy — do rzeczy — do rzeczy!

Mąż. Czegóż więc żadasz odemnie, zbawco narodów obywatelu -boże? —

Pankracy. Przyszedłem tu, bo chciałem cię poznać — powtórę ocalić. —

Mąż. Wdzięcznym za pierwsze — drugie zdaj na szablę moją. —

Pankracy. Szabla twoja — szkło, Bóg twój — mara. — Potępionyś głosem tysięcy — opasanyś ramionami tysięcy — kilka morgów ziemi wam zostało, co ledwo na wasze groby wystarczy — dwudziestu dni bronić się nie możecie. — Gdzie wasze działa, ryszunki, żywność — a wreszcie, gdzie męstwo?...
Gdybym był tobą, wiem, co bym uczynił —

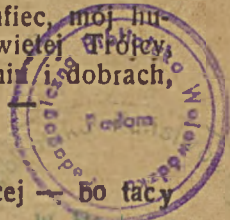
Mąż. Słucham — patrz, jakim clerpliwym. —

Pankracy. Ja więc, hr. Henryk, rzekłbym do Pankracygo: „Zgoda — rozpuszczam mój hufiec, mój hufiec jedyny — nie idę na odsiecz Świętej Trójcy, a za to zostaję przy mojem imieniu i dobrach, których całość warujesz mi słowem.“ —

Wiele masz lat, hrabio? —

Mąż. Trzydzieści sześć, obywatelu, —

Pankracy. Jeszcze piętnaście lat najwięcej — bo tacy



ludzie niedługo żyją — twój syn bliższy grobu, niż młodości. — jeden wyjątek ogromowi nie szkodzi. — Badź więc sobie ostatnim hrabią na tych równinach — panuj do śmierci w domu naddziadów — każ malować ich obrazy i rżnać herby — a o tych nędzarzach nie myśl już więcej. — Niech się wyrok ludu spełni nad nikczemnikami — (nalewa sobie drugi puhar).

Zdrowie twoje, ostatni hrabio!

Mąż. Obrażasz mnie każdym słowem; zda się, próbujesz, czy zdołasz w niewolnika obrócić na dzień trjumfu swego. — Przestań, bo ja ci się odwdziżyć nie mogę. Opatrzność mojego słowa cię strzeże. —

Pankracy. Honor święty, honor rycerski wystąpił na scenę — zwiędły to łachman w sztandarze ludzkości. — O! znam ciebie, przenikam ciebie — pełnyś życia, a łączysz się z umierającymi, bo chcesz się oszukać, bo chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowo ojczyzna i tam dalej — ale w głębi ducha sam wiesz, że braci twojej należy się kara, a po karze niepamięć —

Mąż. Tobie zaś i twoim cóż inszego ?

Pankracy. Zwycięstwo i życie. — Jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam — tem prawem świat bieży [w coraz wyższe kręgi — ono jest zgubą waszą i woła teraz przez moje usta;

„Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym.“ —

Ale — ja pragnę cię wyratować — ciebie jednego.

Mąż. Bodajbyś zginął marnie za tę litość twoją. — Ja także znam świat twój i ciebie — patrzyłem wśród cieniów nocy na płasy motłochu, po karkach którego wspinasz się do góry — widziałem wszystkie stare zbrodnie świata, ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem — ale ich koniec ten sam, co przed tysiącami lat — rozpusta, złoto i krew. A ciebie tam nie było — nie raczyłeś zstąpić między dzieci twoje — bo w głębi duszy ty pogardzasz nimi — kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nie odbierzy, ty będziesz pogardzał sam sobą. —

Nie dręcz mnie więcej — (siada pod herbem swoim.)
Pankracy. Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda — nie wyrósł na olbrzyma — łaknie dotąd chleba i wygod — ale przyjdą czasy — (wstaje, idzie ku Mężowi i opiera się na herbowym filarze) ale przyjdą czasy, w których on zrozumie siebie i powie o sobie: „Jestem“ — a nie będzie drugiego na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: „Jestem.“ —

Mąż. Cóż dalej? —

Pankracy. Z pokolenia, które piastuję w sile woli mojej, narodzi się plenię ostatnie, najwyższe. — Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. — Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna do bieguna. — Ona cała jednym miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu. —

Mąż. Słowa twoje kłamią — ale twarz twoja niewzruszona, błada, udać nie umie natchnienia. —

Pankracy. Nie przerywaj, bo są ludzie, którzy na klęczkach mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem. —

Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie — Bóg, pracą i męką czasów odarty z zasłon — zdobyty na niebie przez własne dzieci, które niegdyś porzucił na ziemi, a one teraz przejrzały i dostały prawdy — Bóg ludzkości objawił się im. —

Mąż. A nam przed wiekami — ludzkość przezeń już zbawiona. —

Pankracy. Niechże się cieszy takim zbawieniem — niedzą dwóch tysięcy lat, upływających od Jego śmierci na krzyżu, —

Mąż. Widziałem ten krzyż, bluźnierco, w starym Rzymie — u stóp Jego leżały gruzы potężniejszych sił, niż twoje — sto bogów, twemu podobnych, walało się w pyle, głowy skaleczonej podnieść nie śmiało ku niemu — a on stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na wschód i na zachód, czoło święte maczał w promieniach słońca — znać było, że jest panem świata. —

Pankracy. Stara powiastka — pusta, jak chrzest twego herbu — (uderza o tarczę).

Ale ja dawniej czytałem twe myśli. — Jeśli więc umiesz sięgać w nieskończoność, jeśli kochasz prawdę i szukałeś jej szczerze, jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczynych piosneczek, słuchaj, nie odrzucaj tej chwili zbawienia. — Krwi, którą oba wylejem dzisiaj, jutro śladu nie będzie — ostatni raz ci mówię — jeżeliś tem, czem wydawałeś się niegdyś, wstań, porzuć dom i chodź za mną. —

Mąż. Tyś młodszym bratem szatana — (wstaje i prze-

chadza się wzdłuż). Daremne marzenia — kto ich dopełni? — Adam skonał na pustyni — my nie wrócim do raju. —

Pankracy (na stronie). Zagiąłem palec popod serce jego — trafiłem do nerwu poezji. —

Mąż. Postęp, szczęście rodu ludzkiego — i ja kiedyś wierzyłem — ot! macie, weźcie głowę moją, byleby... Stało się. — Przed stoma laty, przed dwoma wiekami, polubowna ugoda mogła jeszcze... ale teraz trza mordować się nawzajem — bo teraz im tylko chodzi o zmianę plemienia.

Pankracy. Biada zwyciężonym — nie wahaj się — powtórz raz tylko „biada“ — i zwyciężaj z nami. —

Mąż. Czyś zbadał wszystkie manowce przeznaczenia — czy pod kształtem widomym stanęło ono u wejścia namiotu twojego w nocy i olbrzymią dłonią błogosławiło tobie — lub w dzień czyś słyszał głos jego o południu, kiedy wszyscy spali w skwarze, a tyś jeden rozmyślał — że mi tak pewno grozisz zwycięstwem, człowiecze z gliny, jako ja, niewolniku pierwszej lepszej kuli, pierwszego lepszego cięcia? —

Pankracy. Nie ludź się marną nadzieją — bo nie draś — nie mnie ołów, nie tknie mię żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co później nastąpi, to już wam nic z tego. —

(Zegar bije).

Czas szydzi z nas obu — Jeśliś znudzony życiem, przynajmniej ocal syna swego. —

Mąż. Dusza jego czysta, już ocalona w niebie — a na ziemi los ojca go czeka — (spuszcza głowę między

dłonie i staje).

Pankracy. Odrzuciłeś więc? —

(Chwila milczenia).

Milczysz — dumasz — dobrze — niechaj ten duma, co stoi nad grobem. —

Mąż. Zdala od tajemnic, które za krańcami twoich myśli odbywają się teraz w głębi ducha mojego! Świat — cielska do ciebie należy — tucz go jadłem, oblewaj p soką i winem — ale dalej nie zachodź i precz, precz odemnie! —

Pankracy. Sługo jednej myśli! kształtów jej pedancie, rycerzu, poeto, hanba tobie! — Patrz na mnie — myśli i kształty są woskiem palców moich. —

Mąż. Darmo, ty mnie nie zrozumiesz nigdy — bo każdy z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospółu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem — (wyciąga rękę ku obrazom).

Spojrzyj na te postacie — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl, nieprzyjaciółka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami — a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. — Ale ty człowiecze, powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja? — Wieczorem namiot twój rozbijasz na gruzach cudzego domu, o wschodzie go zwijasz i koczujesz dalej — dotąd nie znalazłeś ogniska swego i nie znajdziesz, dopóki stu ludzi ze chce powtórzyć za mną „Chwała ojcom naszym!” —

Pankracy. Tak chwata dziadom twoim na ziemi i niebie — w rzeczy samej jest na co patrzeć. — Ów starosta, baby strzelał po drzewach i Żydów piekł żywcem. — Ten z pieczęcią w dłoni i podpisem — „kanclerz,” —

sfalszował akta, spalił archiwa, przekupił sędziów, trucizną przyspieszył spadki — stąd wsie twoje, dochody, potęga. — Tamten, czarniawy, z ognistym okiem, cudzołożył po domach przyjaciół — ów z runem złotem, w kolczudze włoskiej, znać służył u cudzoziemców — a ta pani blada, z ciemnymi puklami, kaziła się z germkiem swoim — tamta z pieskiem na robronie, królów była nałożnicą. — Stąd wasze ganealogje bez przerwy, bez plamy. — Lubię tego w zielonym kaftanie — pił i polował z bracią szlachtą a chłopów wysyłał, by z psami gonili jelenie. — Głupstwo i niedola kraju całego — oto rozum i moc wasza. Ale dzień bliski i w tym dniu obiecuję wam, że nie zapomnę o żadnym z ojców waszych, o żadnej chwale waszej. —

Mąż. Mylisz się, mieszczański synu. — Ani ty, ani żaden z twoichby nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. — Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale — a kiedyście z trzody zwierząt wyrosli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły — podczas wojny tylko zostawiali w domu, bo wiedzieli, żeście nie do pola bitwy. —

Słowa twoje łamią się na ich chwałę, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancerzach — one ich popiołów nie wzruszą nawet — one zaginą, jak skowyczenia psa wściekłego, co bieży i pieni się, aż skona gdzie na drodze. — A teraz czas już tobie wyniść z domu mego. — Gościu, wolno puszczać ciebie. —

Pankracy. Do widzenia na okopach Świętej Trójcy. —

A kiedy nam kul braknie i prochu...

Mąż. To się zbliżym na długość szabel naszych. —

Do widzenia. —

Pankracy. Dwa orły z nas — ale gniazdo twoje strzaskane piorunem — (bierze pałasz i czapkę wolności).

Przechodząc próg ten, rzucam nań przekleństwo, należne starości. — I ciebie i syna twego poświęcam zniszczeniu. —

Mąż. Hej, Jakóbie! —

(Jakób wchodzi).

Odprowadzić tego człowieka aż do ostatnich chat moich na wzgórzu. —

Jakób. Tak mi Panie Boże dopomóż! — (wychodzi).

CZĘŚĆ CZWARTA.

Od baszt Św. Trójcy do wszystkich szczytów skał, po prawej, po lewej, z tyłu i na przodzie leży mgła śnieżysta, biała, niewzruszona, milcząca, mara oceanu, który niegdyś miał brzegi swoje, gdzie dolina, której nie widać, i słońca, które jeszcze się nie wydobyło. —

Na wyspie granitowej, nagiej, stoją wieże zamku, wbite w skałę pracą dawnych ludzi i zrosłe ze skałą, jak pierś ludzka z grzbietem u Centaura. — Ponad nimi sztandar się wznosi, najwyższy i sam jeden wśród szarych błękitów. —

Powoli spiące obszary budzić się zaczną — w górze słychać szumy wiatrów — z dołu promienie się cisną — i kra z chmur pędzi po tem morzu z wyziewów. —

Wtedy inne głosy, głosy ludzkie, przymieszają się do znikomej burzy i niesione na mglistych bałwanach, roztrącają się o stopy zamku. —

Widna przepaść wśród obszarów, co pękły nad nią. — Czarno tam w jej głębi, od głów ludzkich czarno — dolina cała zarzucona głowami ludzkiemi, jako dno morza głazami. —

Słońce ze wzgórzów na skały wstępuje — w złocie unoszą się, w złocie roztapiają się chmury, a im bardziej nikną, tem lepiej słychać wrzaski, tem lepiej dojrzeć można tłumy, płynące u dołu. —

Z gór podniosły się mgły — i konają teraz po niemościach błękitu. — Dolina Św. Trójcy obsypana światłem migającej broni i lud ciągnie zewsząd do niej, jak do równiny Ostatniego Sądu. —

Katedra w zamku Św. Trójcy.

Panowie, senatory, dygnitarze siedzą po obu stronach, każdy pod posągami jakiego króla lub rycerza — za posągami tłumy szlachty — przed wielkim ołtarzem w głębi Arcybiskup, w krześle złożonym, z mieczem na kolanach — za ołtarzem chór kapłanów — Mąż stoi w progu przez chwilę, potem zaczyna iść powoli ku Arcybiskupowi ze sztandarem w rękę.

Chór kapłanów. Ostatnie sługi twoje, w ostatnim kościele Syna twego, błagamy Cię za czią ojców naszych. — Od nieprzyjaciół wyratuj nas, Panie! —
Pierwszy hrabia. Patrz, z jaką dumą spogląda na wszystkich. —

Drugi hrabia. Myśli, że świat podbił. —

Trzeci hrabia. A on się tylko nocą przedarł przez obóz chłopów. —

Pierwszy hrabia. Sto trupów położył, a dwieście swoich utracił. —

Drugi hrabia. Nie dajmy, by go wodzem obrali. —

Mąż (klęka przed Arcybiskupem). U stóp twoich składam zdobycz moją. —

Arcybiskup. Przypasz miecz ten, błogosławiony niegdyś ręką Św. Florjana. —

Głosy. Niech żyje hr. Henryk — niech żyje! —

Arcybiskup. I przyjm ze znakiem Krzyża Św. dowództwo w tym zamku, ostatniem państwie naszym — wolą wszystkich mianuję cię wodzem. —

Głosy. Niech żyje — niech żyje! —

Głos jeden. Nie pozwalam.

Inne głosy. Precz — precz — za drzwi! — Niech żyje Henryk! —

Mąż. Jeśli kto ma co do zarzucenia mnie, niechaj wystąpi, wśród tłumu się nie kryje. —

(Chwila milczenia).

Ojcze, szablę tę biorę i niech mi Bóg zrzędzi zgon prędki, zawczesny, jeśli nią ocalić was nie zdołam. —

Chór kapłanów. Daj mu siłę — daj mu ducha Świętego, Panie! — Od nieprzyjaciół wyratuj nas, Panie!

Mąż. Teraz przysięgnijcie wszyscy, że chcecie bronić wiary i czci przodków waszych — że głód i pragnienie umorzy was do śmierci, ale nie do hańby, nie do poddania się — nie do ustąpienia choćby jednego z praw Boga waszego lub waszych. —

Głosy. Przysięgamy. —

(Arcybiskup klęka, wznosi krzyż. Wszyscy klękają).

Chór. Krzywoprzysięzca gniewem Twoim niech obarczon będzie. — Bojaźliwy gniewem Twoim niech obarczon będzie. — Zdrajca gniewem Twoim niech obarczon będzie. —

Głosy. Przysięgamy.

Mąż (dobywa miecza). Teraz obiecuję wam sławę — u Boga wyproście zwycięstwo — (otoczony tłumem, wychodzi).

*

Jeden z dziedziców Św. Trójcy — Mąż — hrabiowie — barony — książęta — książę — szlachta.

Hrabia (na stronę odprowadza Męża). Jakże — wszystko stracone? —

Mąż. Nie wszystko — ba, że wam serca zabraknie przed czasem. —

Hrabia. Przed jakim czasem? —

Mąż. Przed śmiercią. —

Baron (odprowadza go w inną stronę). Hrabia podobno widziałeś się z tym okropnym człowiekiem? — Będzie on miał litości choćby trochę nad nami, kiedy się dostaniem w ręce jego? —

Mąż. Zaprawdę ci mówię, że o takiej litości żaden z ojców twoich nie słyszał — zowie się szubienica. —

Baron. Trza się bronić, jak można. —

Mąż. Co Książę mówi? —

Książę. Parę słów na boku — (odchodzi z nim).

To wszystko dobre dla gminu, ale między nami oczywiście jest, że się oprzeć nie zdołamy. —

Mąż. Cóż więc pozostaje? —

Książę. Obrano cię wodzem, a zatem do ciebie należy rozpocząć układy. —

Mąż. Ciszej — ciszej! —

Książę. Dlaczego? —

Mąż. Boś, mości Książę, już na śmierć zasłużył — (odwraca się do tłumu).

Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karany będzie.

Baron, hrabia, książę (razem). Kto wspomni o poddaniu, ten śmiercią karany będzie. —

Wszyscy. Śmiercią — śmiercią — wiwat! — (wychodzą).

★

Krużganek na szczycie wieży — Mąż — Jakób.

Mąż. Gdzie mój syn? —

Jakób. W wieży północnej usiadł na progu starego więzienia i śpiewa proroctwa. —

Mąż. Najmocniej osadź basztę Eleonory — sam nie

ruszaj się stamtąd i co kilka minut patrzaj lunetą na obóz buntowników. —

Jakób. Wątpoby, tak mi Panie Boże dopomóż, dla zachęty rozdać naszym po szklance wódki. —

Mąż. Jeśli potrzeba, każ otworzyć nawet piwnice naszych hrabiów i książąt. —

(*Jakób wychodzi. — Mąż wchodzi kilkoma schodami wyżej, pod sam sztandar, na płaski taras.*)

Całym wzrokiem oczu moich, całą nienawiścią serca obejmuję was, wrogi. — Teraz już nie marnym głosem, nie mdłym natchnieniem będę walczył z wami, ale żelazem i ludźmi, którzy mnie się poddali. —

Jakże tu dobrze być panem, być władzą — choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole, skupione około siebie, i na was przeciwników moich, zanurzonych w przepaści, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potępieni wołają ku niebu. —

Dni kilka jeszcze, a może mnie i tych wszystkich nędzarzy, co zapomnieli o wielkich ojcach swoich, nie będzie — ale bądź co bądź — dni kilka jeszcze pozostało — użyję ich rozkoszy mej kwoli — panować będę — walczyć będę — żyć będę. — To moja pieśń ostatnia! —

Nad skałami zachodzi słońce w długiej, czarnej trumnie z wyziewów. — Krew promienista zewsząd leje się na dolinę. — Znaki wieszczce zgonu mojego, pozdrawiam was szczerzem, otwartsem sercem, niż kiedykolwiek wprzód witałem obietnice wesela, uludy, miłości, —

Bo nie podłą pracą, nie podstępem, nie przemysłem doszedłem końca życzeń moich — ale nagle, znienacka, tak, jakom marzył zawždy.

I teraz tu stoję na pograniczach snu wiecznego, wodzem tych wszystkich, co mi wczoraj jeszcze równymi byli. —

*

Komnata w zamku, oświetlona pochodniami — Orcio siedzi na łożu — Mąż wchodzi i składa broń na stole.

Mąż. Sto ludzi zostawić na szajcach — reszta niech odpocznie po tak długiej bitwie. —

Głos zą drzwiami. Tak mi Panie Poże dopomóż! —

Mąż. Zapewne słyszałeś wystrzały, odgłosy naszej wybieczki — ale bądź dobrej myśli, dziecię moje, nie przepadniemy jeszcze ni dzisiaj ni jutro. —

Orcio. Słyszałem, ale to nie tknęło mi serca — huk przeleciał i niema go więcej — co innego w dreszcz mnie wprawia, ojczu. —

Mąż. Lękałeś się o mnie? —

Orcio. Nie — wiem, że twoja godzina nie nadeszła jeszcze. —

Mąż. Sami jesteśmy — ciężar spadł mi z duszy na dzisiaj, bo tam w dolinie leżą ciała pobitych wrogów. — Opowiedz mi wszystkie myśli twoje — będę ich słuchał, jak dawniej w domu naszym. —

Orcio. Za mną, za mną, ojczu — tam straszny sąd co noc się powtarza — (idzi ku drzwiom skrytym w murze i otwiera je).

Mąż. Gdzie idziesz? — Kto ci pokazał to przejście? — Tam lochy wiecznie ciemne, tam gniją dawnych ofiar kości. —

Orcio. Gdzie oko twoje, zwyczajne słońcu nie dowidzi,

widzi — tam duch mój stąpać umie. — Ciemności,
idźcie do ciemności! — (zstępuje).

*

Lochy podziemne — kraty żelazne, kajdany, narzędzia do tortur
połamane, leżące na ziemi — Mąż z pochodnią u stóp głazu, na
którym Orcio stoi. —

Mąż. Zejdź, błagam cię, zejdź do mnie. —

Orcio. Czy nie słyszysz ich głosów, czy nie widzisz ich
kształtów? —

Mąż. Milczenie grobów — a światło pochodni na kil-
ka stóp tylko rozświeca przed nami. —

Orcio. Coraz już bliżej — coraz już widniej — idą
z pod ciasnych sklepień jeden po drugim i tam za-
siadają w głębi. —

Mąż. W szaleństwie twojem potępienie moje — szale-
jesz, dziecię — i siły moje niszczysz, kiedy mi ich
tyle potrzeba. —

Orcio. Widzę duchem blade ich postacie, poważne, ku-
piące się na sąd straszny. — Oskarżony już nadcho-
dzi i jako mgła płynie. —

Chór głosów. Siłą nam daną za męki nasze, my, nie-
gdyś przykuci, smagani, dręczeni, żelazem rwani, tru-
cizną pojeni, przywaleni cegłami i żwirem, dręczmy
i sądźmy, sądźmy i potępiajmy — a kary szatan się
podejmie. —

Mąż. Co widzisz? —

Orcio. Oskarżony — oskarżony — ot załamał dłonie. —

Mąż. Kto on jest? —

Orcio. Ojczy — ojczy! —

Głos jeden. Na tobie się kończy ród przeklęty — w to-
bie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje i wszystkie

namiętności swe i całą dumę swoją, by skonać.

Chór głosów. Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił
prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion je-
steś — potępion na wieki. —

Mąż. Nic dojrzeć nie mogę, a słyszę z pod ziemi, nad
ziemią, po bokach westchnienia i zale, wyroki i gro-
źby. —

Orcio. On teraz podniósł głowę, jako ty, ojcze, kiedy
się gniewasz — i odparł dumnem słowem, jako ty,
ojcze, kiedy pogardzasz. —

Chór głosów. Daremno — daremno — ratunku niema
dla niego ni na ziemi, ni w niebie.

Głos jeden. Dni kilka jeszcze chwały ziemskiej, znikomej,
której mnie i braci moich pozbawili naddziady twoje
— a potem zaginiesz, ty i bracia twoi — i pogrzeb-
wasz jest bez dzwonów żałoby — bez łkania przyja-
ciół i krewnych — jako nasz był kiedyś na tej samej
skale boleści. —

Mąż. Znam ja was, podłe duchy, i marne ogniki, lata-
jące wśród ogromów anielskich — (idzie kilka kroków
naprzód).

Orcio. Ojcze, nie zapuszczaj się w głąb — na Chrystusa
imię święte zaklinam cie, ojcze. —

Mąż. (wraca). Powiedz, powiedz, kogo widzisz ? —

Orcio. Ta postać. —

Mąż. Czyja ?

Orcio. To drugi ty jesteś — cały blady — spętany —
oni teraz męczą ciebie — słyszę jęki twoje — (pa-
da na kolana). Przebacz mi, ojcze — matka pośród
nocy przyszła i kazała... (mdleje).

Mąż. (chwytając go w objęcia). Tego nie dostawało. —
 Ha! dziecię własne przywiodło mnie do progu piekła!
 Marjo! — nieubłagany duchu — Boże! i Ty, droga
 Marjo, do której modliłem się tyle! —

Tam poczyną się nieskończoność mąk i ciemności.
 — Nazad! muszę jeszcze walczyć z ludźmi — potem
 wieczna walka. —

(ucieka z synem)

Chór głosów. (w oddali). Za to, żeś nic nie kochał, nic
 nie czczył prócz siebie, prócz siebie i myśli twych
 potępion jesteś — potępion na wieki. —

*

Sala w zamku Św. Trójcy — Mąż — kobiety, dzieci, kiku star-
 ców i hrabiów, klęczących u stóp jego. Ojciec chrzestny stoi
 w środku sali — tłum w głębi — zbroje zawieszane, gotyckie
 filary, ozdoby, okna. —

Mąż. Nie — przez syna mego — przez żonę niebosz-
 czkę moją, nie — jeszcze raz mówię — nie! —

Głosy kobiece. Zlituj się — głód pałi wnętrzności nasze
 i dzieci naszych — dniem i nocą strach nas pożera. —

Głosy męczyzn. Jeszcze pora — słuchaj posła — nie
 odsyłaj posła. —

Ojciec hrzestny. Całe życie moje obywatelskiem było
 i nie zważam na twoje wyrzuty Henryku. — Jeśli
 się podjął urzędu poselskiego, który w tej chwili spra-
 wuję, to że znam wiek mój i cenić umiem całą war-
 tość jego. — Pankracy jest reprezentantem obywatel-
 nym, że tak rzekę...

Mąż. Precz z oczu moich, stary!

(na stronie do Jakóba).

Przyprowadź tu oddział naszych. —

(Jakób wychodzi — kobiety powstają i płaczą — mężczyźni się oddalają o kilka kroków).

Baron. Zgubiłeś nas, Hrabio. —

Drugi. Wypowiadamy ci posłuszeństwo. —

Księżę. Sami ułożymy z tym zacnym obywatelem warunki poddania zamku. —

Ojciec chrzestny. Wielki mąż, który mnie przysłał, obiecuje wam życie, bylebyście przyłączyli się do niego i uznali dążenie wieku. —

Kilka głosów. Uznajemy — uznajemy. —

Mąż. Kiedyście mnie wezwali, przysiągłem zginąć na tych murach — dotrzymam i wy wszyscy zginiecie wraz ze mną. —

Ha! chce się wam żyć jeszcze! —

Ha! zapytajcie ojców waszych, po co gnębili i panowali! —

(do Hrabiego)

A ty czemu uciskałeś poddanych? —

(do drugiego).

A ty czemu przepędziłeś wiek młody na kartach i podróżach daleko od ojczyzny? —

(do innego).

Ty się modliłeś wyższym, gardziłeś niższymi. —

(do jednej z kobiet).

Dlaczegoż dzieci nie wychowałaś sobie na obrońców — na rycerzy? — Terazby ci się zdały na coś.

— Aleś kochała żydów, adwokatów — proś ich o życie teraz. —

(staje i wyciąga ramiona).

Czego się tak spieszycie do hańby — co was tak nęci, by upodlić wasze ostatnie chwile? Naprzód raczej ze mną, naprzód, Mości Panowie, tam,

gdzie kule i bagnety — nie tam gdzie szubienica
i kat milczący, z powrozem w dłoni na szyje wasze —
Kilka głosów. Dobrze mówi — na bagnety! —
Inne głosy. Kawałka chleba już niema. —
Kobiece głosy. Dzieci nasze, dzieci wasze! —
Wiele głosów. Poddać się trzeba — układy — układy! —
Ojciec chrzestny. Obiecuję wam całość, że tak rzekę,
nietykalność osób i ciał waszych. —
Mąż. (przybliżył się do Ojca chrzestnego i chwycił go
za piersi). Święta osobo posła, idź kryć siwą głowę
pod namioty przechrztów i szewców, bym ją krwią
twoją własną nie zmazał. —

(wchodzi oddział zbrojnych z Jakóbem).

Na cel mi wziąć to czoło zorane zmarszczkami
marnej nauki — na cel tę czapkę wolności, drżącą
od tchnienia słów moich, na tej głowie bez mózgu —

(Ojciec chrzestny się wymyka).

Wszyscy (razem). Związać go — wydać Pankracemu! —
Mąż. Chwila jeszcze, Mości Panowie! —

(chodzi od jednego żołnierza do drugiego).

Z tobą, zda mi się, wdzieralem się na góry za
dzikim zwierzem — pamiętasz, wyrwałem cię z prze-
paści. —

(do innych).

Z wami rozbiłem się na skałach Dunaju — Hiero-
nimie, Krzysztofie, byliście ze mną na Czarnem
Morzu. —

(do innych).

Wam odbudowałem chaty zgorzałe. —

(do innych).

Wyście uciekli do mnie od złego pana. — A teraz mówcie — pójdziecie za mną, czy zostawicie mnie samego, ze śmiechem na ustach, żem pośród tylu ludzi jednego człowieka nie znalazł? —

Wszyscy. Niech żyje hr. Henryk — niech żyje! —

Mąż. Rozdać im co zostało wędliny i wódki — a potem na mury! —

Wszysy żołnierze. Wódki — mięsą — a potem na mury! —

Mąż. Idź z nimi, a za godzinę bądź gotów do walki. —

Jakób. Tak mi Panie Boże dopomóż! —

Głosy kobiece. Przeklinamy cię za niewiniątka nasze. —

Inne głosy. Za ojców naszych. —

Inne głosy. Za żony nasze. —

Mąż. A ja was za podłość waszą. —

(wychodzi).

*

Okopy Św. Trójcy — trupy naokoło — działa potrzaskane — broń leżąca na ziemi — tu i ówdzie biegną żołnierze — Mąż oprty o szaniec, Jakób przy nim. —

Mąż. (szablę chowając do pochwy). Niema rozkoszy, jak grać w niebezpieczeństwo i wygrać zawsze, a kiedy nadejdzie przegrać — to raz jeden tylko. —

Jakób. Ostatnimi naszymi nabojami skropieni, odstąpili, ale tam w dole się gromadzą i niedługo wrócą do sztu - mu — darmo, nikt losu przeznaczonego nie uszedł, od kiedy świat światem. —

Mąż. Niema już więcej kartaczy? —

Jakób. Ani kul, ani lotek, ani śrutu — wszystko się przebiera nareszcie. —

Mąż. A więc syna mi przyprowadź, bym go raz jeszcze uściskał. —

(Jakób odchodzi).

Dym bitwy zamgłił oczy moje — zda mi się, jakby dolina wzdymała się i opadała nazad — skały w sto kątów łamią się i krzyżują — dziwnym szykiem także ciągną myśli moje — (siada na murze).

Człowiekiem być nie warto — aniołem nie warto: — Pierwszy z archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu, czuł nudę w sercu swoim i zapragnął potężniejszych sił. — Trza być bogiem lub nicością. —

(Jakób przychodzi z Orciem).

Weź kilku naszych, obejdz sale zamkowe i pędź do murów wszystkich, co spotkasz —

Jakób. Bankierów i hrabiów i książąt — (odchodzi).

Mąż. Chodź synu — połóż tu rękę swoją na dłoni mojej — czołem ust moich dotknij — czoło matki twojej niegdyś było takiej samej bieli i miękkości. —

Orcio. Słyszałem głos jej dzisiaj, nim zerwali się mężowie do broni — słowa jej płynęły tak lekko, jak wonie i mówiła: „Dziś wieczorem zasiądziesz przy mnie.” —

Mąż. Czy wspomniała choćby imię moje? —

Orcio. Mówiła: „Dziś wieczorem czekam na syna mego.” —

Mąż. (na stronie). U końca drogi czyż opadnie mnie

siła? — Nie daj tego, Boże! — Za jedną chwilę odwagi masz mnie więźniem twoim przez wieczność całą. — (głośno:)

O synu, przebaczone, że ci dałem życie — rozstajemy się — czy wiesz na jak długo?

Crcio. Weź mnie i nie puszczaj — ja cię pociągnę za sobą. —

Mąż. Różne drogi nasze — ty zapomnisz o mnie wśród chórów anielskich, ty kropli rosy nie rzucisz mi z góry — O Jerzy — Jerzy! — O synu mój! —

Crcio. Co za krzyki! — Drzę cały — coraz groźniej — coraz bliżej — huk dział i strzelb się rozlega — godzina ostatnia przepowiedziana, ciągnie ku nam. —

Mąż. Śpieszaj, śpieszaj, Jakóbie! —

(Orszak hrabiów i książąt przechodzi przez dolny dziedziniec — Jakób z żołnierzami idzie za nim).

Głos jeden. Daliście odłamki broni i bić się każecie. —

Głos drugi. Henryku, ulituj się! —

Trzeci. Nie gnaj nas słabych, zgłodniałych, ku murom! —

Inne głosy. Gdzie nas pedzą — gdzie?

Mąż. (do nich). Na śmierć. — (do syna). Tym uściskiem chciałbym się z tobą połączyć na wieki — ale trza mi w inną stronę. —

(Orcio pada, trafiony kulą).

Głos w górze. Do mnie, do mnie, duchu czysty — do mnie, synu mój!

Mąż. Hej! do mnie, ludzie moi! — (dobywa szablę i przykładą do ust leżącego). Klinga szklanna, jak wprzód — oddech i życie uleciały razem. —

Hej! tu — naprzód — już się wdarli na długość szabli mojej — nazad, w przepaść, syny wolności! —
(Zamieszanie i bitwa).

*

Insza strona okopów — słysząc odgłosy walki — Jakób rozciągnięty na murze — Mąż nadbiega, krwią obłany. —

Mąż. Cóż ci jest, mój wierny, mój stary? —

Jakób. Niech ci czart odpłaci w piekle upór twój i męki moje. Tak mi Panie Boże dopomóż! — (umiera).

Mąż (rzucając płaszcz). Nie potrzebnyś mi dłużej — wyginęli moi, a tamci klęcząc, wyciągają ramiona ku zwycięzcom i bełkocą o miłosierdzie — (spoziera naokoło).

Nie nadchodzą jeszcze w tę stronę — jeszcze czas — odpocznijmy chwilę. — Ha! Już się wdarli na wieżę północną — ludzie nowi się wdarli na wieżę północną — i patrzą, czy gdzie nie odkryją hrabiego Henryka. — Jestem tu — jestem — ale wy mnie sądzić nie będziecie. — Ja się już wybrałem w drogę — ja stąпам ku sądowi Boga. — (Staje na odłamku baszty, wiszącym nad przepaścią).

Widzę ją całą czarną obszarami ciemności płynącą do mnie, wieczność moją bez brzegów, bez wysep, bez końca a pośrodku jej Bóg, jak słońce, co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje a nic ni oświeca — (krokiem dalej się posuwa).

Biegnąc, zobaczyli mnie — Jezus, Marja! — Po-ezjo, bądź mi przekłeta, jako ja sam będę na wieki! — Ramiona, idźcie i przierzynajcie te wały! — (skacze w przepaść).

Dziedziniec zamkowy — Pankracy — Leonard — Bianchetti na czele tłumów — przed nimi przechodzą hrabiowie, książęta, z żonami i dziećmi, w łańcuchach. —

Pankracy. Twoje imię?

Hrabia. Krzysztof na Volsagunie. —

Pankracy. Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

Książę. Władysław, pan Czarnolasu.

Pankracy. Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

Baron. Aleksander z Godalberg. —

Pankracy. Wymazane z pośród żyjących — idź! —

Bianchetti (do Leonarda). Dwa miesiące nas trzymali a nędzny rząd armat i ladajakie parapety. —

Leonard. Czy dużo ich tam jeszcze? —

Pankracy. Oddaję ci wszystkich — niech ich krew płynie dla przykładu świata — a kto z was mi powie, gdzie Henryk, temu daruję życie. —

Różne głosy. Zniknął przy samym końcu. —

Ojciec chrzestny. Staję teraz jako pośrednik między tobą a niewolnikami twoimi — tymi przeznaczonego rodzaju obywatelami, którzy, wielki człowiecze, klucze zamku Św. Trójcy złożyli w ręce twoje.

Pankracy. Pośredników nie znam tam, gdzie zwyciężyłem siłą własną. — Sam dopilnujesz ich śmierci. —

Ojciec chrzestny. Całe życie moje obywatelskiem było, czego są dowody niemałe, a jeśli się połączył z wami, to nie na to, bym własnych braci szlachtę...

Pankracy. Wziąć starego doktrynera — precz w jedną drogę z nimi! —

(Żołnierze otaczają Ojca chrzestnego i niewolników).

Gdzie Henryk? — czy kto z was nie widział go żywym lub umarłym? — Wór pełny złota za Henryka — choćby za trupa jego!

(Oddział zbrojnych schodzi z murów).

A wy nie widzieliście Henryka?

Naczelnik oddziału. Obywatelu wodzu, udałem się za rozkazem generała Bianchetti ku stronie zachodniej szaniec, Zaraz na początku wejścia naszego do fortecy, i na trzecim zakręcie bastjonu ujrzałem człowieka ranego i stojącego bez broni przy ciele drugiego. — Kazałem podwoić kroku, by schwycić — ale nim zdążyliśmy, ów człowiek zeszedł trochę niżej, stanął na głazie chwiejącym się i patrzył chwilę obłąkanym wzrokiem — potem wyciągnął ręce jak pływacz, który ma dać nurka, i pchnął się z całej siły naprzód — słyszeliśmy wszyscy odgłos ciała, spadającego po urwiskach — a oto szablę, znalezioną kilka kroków dalej. —

Pankracy (biorąc szablę). Ślady krwi na rękojeści — poniżej herb jego domu.

To pałasz hrabiego Henryka — on jeden z pośród was dotrzymał słowa. — Za to chwala jemu, gilotyna wam. —

Generale Bianchetti, zatrudnij się zburzeniem warowni i dopełnieniem wyroku.

Leonardzie! — (wstępuje na basztę z Leonardem).

Leonard. Po tylu nocach bezsennych powinienbyś odpocząć, mistrzu — znać strudzenie na rysach twoich. —

Pankracy. Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich

ostatniem westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trza zaludnić te puszcze — przedrażyc te skały — połączyć te jeziora — wydzielic grunt każdemu, by we dwójnásób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest. —

Leonard. Bóg wolności sił nam podda. —

Pankracy. Co mówisz o Bogu — ślisko tu od krwi ludzkiej. — Czyż to krew? — Za nami dziedzińce zamkowe — sami jesteśmy, a zdaje mi się, jakoby tu był ktoś trzeci. —

Leonard. Chyba to ciało przebite. —

Pankracy. Ciało jego powiernika — ciało martwe — ale tu duch czyjś panuje — a ta czapka — ten sam herb na niej — dalej, patrz, kamień wystający nad przepaścią — na tem miejscu serce jego pękło. —

Leonard. Bledniejesz mistrzu. —

Pankracy. Czy widzisz tam wysoko — wysoko? —

Leonard. Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochyłą, na której dogasają promienie słońca. —

Pankracy. Znak straszny pali się na niej —

Leonard. Chyba cię myli wzrok. —

Pankracy. Miljon ludu słuchało mnie przed chwilą — gdzie jest lud mój? —

Leonard. Słyszysz ich okrzyki — wołają ciebie — czekają na ciebie. —

Pankracy. Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień. —

Leonard. Kto? —

Pankracy. Jak słup śnieżnej jakości, stoi ponad przepaściami — oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli mściciel. — Ze splecionych piorunów korona cierniowa. —

Leonard. Co się z tobą dzieje? co tobie jest? —

Pankracy. Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze, kto żyw. —

Leonard. Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy — chodźmy stąd — chodźmy — czy słyszysz mnie? —

Pankracy. Połóż mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch. —

Leonard. Czy dobrze tak? —

Pankracy. Nędzne ręce twe — jak u ducha, bez kości i mięsa — przejrzyste jak woda — przejrzyste jak szkło — przejrzyste, jak powietrze. — Widzę wciąż! —

Leonard. Oprzyj się o mnie. —

Pankracy. Daj mi choć odrobinę ciemności! —

Leonard. O mistrzu mój! —

Pankracy. Ciemności — ciemności! —

Leonard. Hej! obywatele — hej! bracia demokracji, na pomoc! — Hej! ratunku — pomocy — ratunku! —

Pankracy. Galilaei, vicisti! (stacza się w objęcia Leonarda i kona).

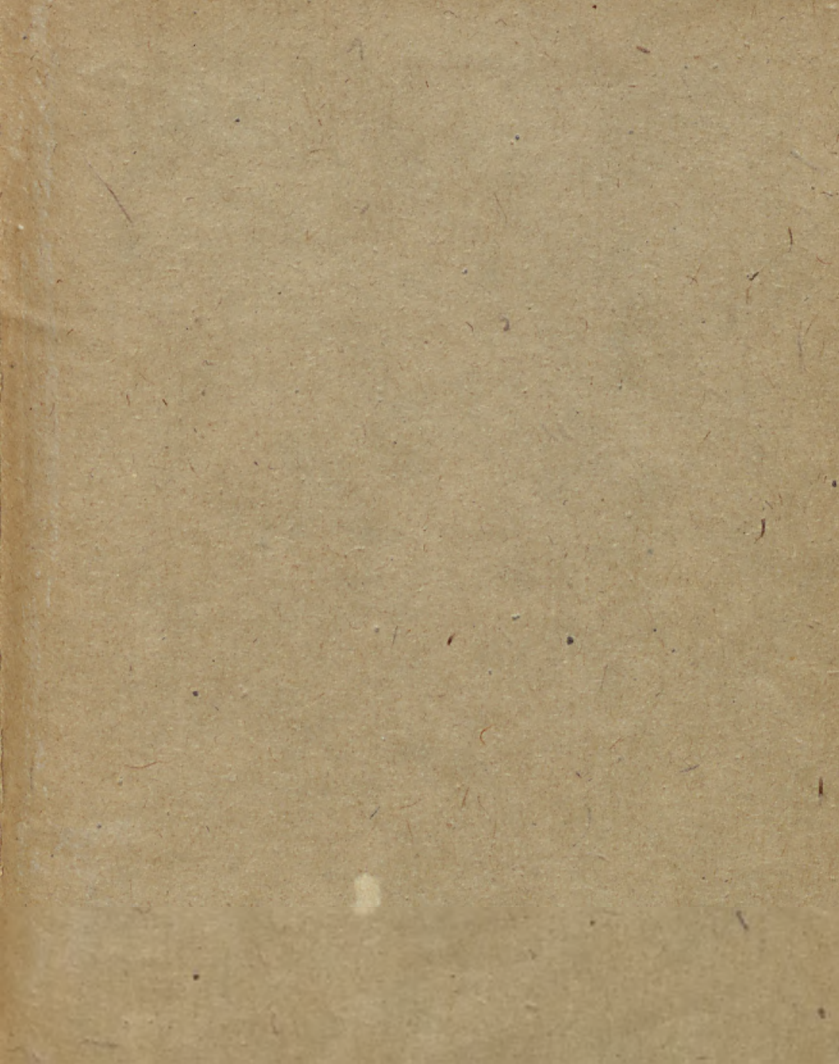


Państwowe Zakłady Kształcenia
NAUCZYCIELI

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY, LICZBA PED
GIMNAZJUM KOEDUKACYJNE, SZKOŁA
W RADOMIU

15581

~~Państwowe Zakłady Kształcenia
NAUCZYCIELI
KURSY PEDAGOGICZNE, WYŻSZA PEDAGOGICZNA
GIMNAZJUM KOSZULACZYNE, SZKOŁA GWIEZD
W RYDZOMIU~~



nowalkrythe Henrythe.



Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 43351



BGZs 43351